Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

W NUMERZE:

J. WROBLEWSKI — Najsilniejsza fala. M. LEŚNIAK — Dwa światy — dwie dyplomacje.
Z. ZALEWSKI — Nad brzegiem Wisły. Z. KORNACKA — Kobieta w kołchozie.
K. KAMIŃSKI — Na fermie hodowlanej. S. CIEŚLAK — „...Do coraz lepszego życia..."
G. TIMOFIEJEW — Towarzysze pracy i walki. M. KOWALSKA — O chlebie i soli.
J. STEFANIAK — Moskwo! Z. BARCHANOWSKA — Spotkania.
H. FILUTOWICZ — Numer 2458. J. KOPROWSKI — Ballada o Leninie.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX — Warszawa, dn. 9 listopada 1952 r. — Nr. 45 (379)

XXXV Rocznica Rewolucji Październikowej

L. Trofimow „Wieść o Rewolucji".

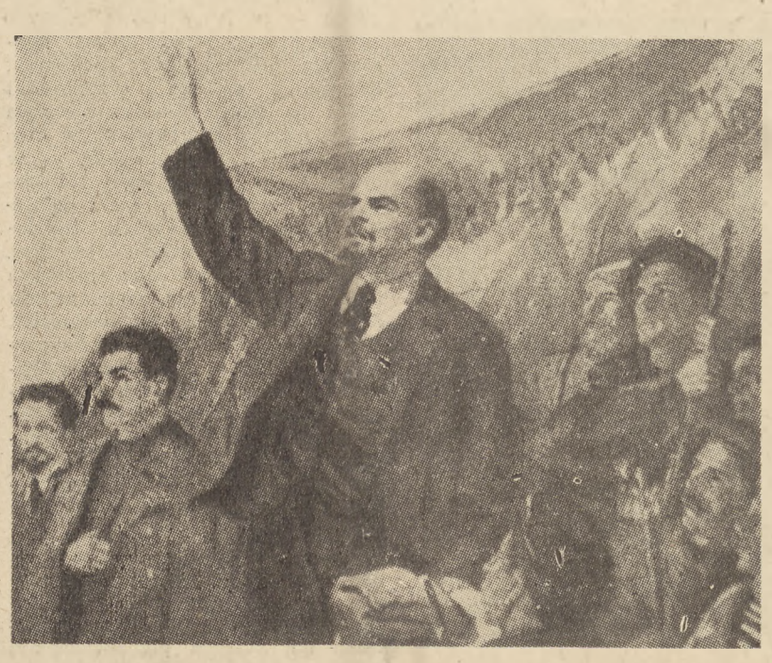

J. Rejner — „Cała władza Radom!" (z serii: „Marynarze Aurory w 1917 r.")

DYMITR FURMANOW

Niezapomniane dni

WIEDZIELIŚMY, że przełom nastąpi 25 października — właśnie 25, ani o dzień wcześniej, ani później Główna walka będzie toczona w Pitrze i w Moskwie — tam rozstrzyga się niemal wszystko.

Tam więc będzie potrzebna nasza pomoc. Należy im powiedzieć, że jesteśmy gotowi, że możemy im dać naszych najlepszych żołnierzy, że tu, u siebie, jesteśmy zwycięscy.

Kiedy jedno miasto po drugim, dziesiątki, setki miast obwieszczą, że zwyciężyły, że są gotowe nieść pomoc — wówczas dopiero wypełni się zwycięstwo. I wówczas z kolei zwycięży wieś... Wiemy o tym i gorączkowo przygotowujemy się do przełomowych, rozstrzygających dni.

Robotnikom wydano za październik po pięć funtów lichej mąki. Więcej już nic nie wydadzą, nie ma żadnej nadziei na jakieś przydziały, nic dostać niepodobna, a ludzie nie mają gdzie, ani za co kupować. Jest bardzo kiepsko.

Chodzimy na wiece, wielotysięczne wiece tkaczy, którzy zbierają się w podwórcach swoich fabryk.

Przychodzimy, sami głodni aż do mdłości i mówimy z nimi o głodzie.

— Robotnicy! Drodzy towarzysze!... Sami widzicie — skąd my możemy wydostać zboże?... W tym tygodniu nawet się nie spodziewajcie, wcale już nie będzie... A później... później być może... nie możemy ręczyć na pewno, ale jest nadzieja... W październiku dostaliście tylko pięć funtów — nędza Ale co robić, kiedy zboża nie ma na lekarstwo: wszyscy jemy tylko obierzyny z kartofli...

— I obierzyn też nie ma — rozległ się z tłumu jękliwy głos tkaczki. Zawtórowała jej głucho sąsiadka — zasępiona starucha o surowym wyrazie twarzy:

— O Jezu, i co my zrobimy...

— Ja wam powiem — krzyk kobiety przechodził w skowyt — powiem wam co zrobić: u mnie dzieci już trzeci dzień nic nie żarły!... Też mi gadanie — to pod naszym adresem — co mi z twoich słówek, chleb dawaj! Chleb, bo inaczej to pluję na ciebie... To ci powiem...

Tkacze stoją w ponurym, zaciętym milczeniu, dobrze rozumieją zgładniałą matkę — nie przeszkadzają jej ulżyć sercu krzykiem, protestem, groźbami. My również milczymy.

A udręczone tkaczki jedna drugą zarażają rozpaczą na wspomnienie głodujących dzieci, boleśnie i dojmująco odczuwają w tej chwili całą mękę macierzyńskiej bezsiły, wołają o pomoc, obrzucają wymysłami i przekleństwami — ale kogo?... Same tego nie wiedzą i zawodzą, niczym nad trumną najbliższych...

Spokojni i poważni stoją w groźnym bezruchu tkacze...

Upływają minuty gwałtownych skarg, oburzenia, nieprzytomnych protestów i gróźb... Morze zacicha, znów można się odezwać. Znowu słuchają z wiarą i zaufaniem. I wiedzą, że pomoc przyjdzie w końcu tylko od Sowietu, od tych to ludzi stojących na beczkach. Ludzi przez nich samych wybranych, którym zawierzyli swe życie, a których można tęgo wyłajać, wylać na nich cały nie do zniesienia ból udręczeń, głodu, chorób i bezustannych, rozpaczliwych braków — swoi ludzie, nie będą się obrażać.

Na te wiece próbowali przedostawać się rzeźnicy i w chwilach burzliwego niezadowolenia, gdy padały groźby, sami podnosili krzyk — ale na swój, rzeźnicki sposób... Poznawano ich, niejednego obito, wyrzucano z podwórców fabryk.

Z góry padają w tłum zdania krótkie, wyraźne:

— Oplątała nas zdrada i sprzedajność. Rząd jest bezsilny: dalej bierze udział w krwawej rzezi, fabryki pozostawia fabrykantom, chlebem nie daje ziemi... Czy mamy to znosić bez końca? W nas jest siła, wszystko możemy zrobić!

— I zrobimy... Ale wtedy dopiero, kiedy w swoje ręce weźmiemy władzę!

— Prawda, prawda! — Z setek, z tysięcy gardzieli wyrywa się zgodny okrzyk. — Cała władza Radom! — Precz z ministrami-kapitalistami! Precz z socjalistami-zdrajcami!

Zapomnieli o głodzie, zapomnieli o swej własnej przejmującej niedoli — stali gotowi do walki, ofiarni i świadomi, nieubłagani w swym zdecydowaniu...

— Nadchodzą — słowa padają gwałtownie, jak ogień palące — nadchodzą ostatnie dni. Ważą się wasze losy. Rosja proletariacka przygotowuje się do walki... Czy wy, tkacze, jesteście gotowi?

— Jesteśmy zawsze gotowi...

— Więc pamiętajcie, że w najbliższej przyszłości trzeba nam będzie wytrwać na posterunku!

*

Na kolei — w parowozowni, po warsztatach, przy pompie — kręcili się jacyś naszeptywacze, zatrzymywali robotników, tłumaczyli im, że trzeba jak najprędzej zatrzymać ruch — dlatego, że w Pitrze i w Moskwie zamachowcy chcą odebrać władzę ludowi... Nie należy — szeptano — udzielać im pomocy, trzeba ich odciąć od wszystkich i wszystkiego, niech będą sami, a wtedy dobiją ich dzielni junkrzy...

Robotnicy ze zdumieniem przyglądali się agitatorom, a potem szli do komitetu kolejowego i raportowali o wszystkim swoim przywódcom. Chciano wyłapać naszeptywaczy, ale ci znikli — i nie dowiedziano się ani skąd się wzięli, ani kto ich nasłał...

W dniach Października kolejarze Iwanowo-Wozniesieńska na całym terenie rozległego węzła oddali wielkie usługi. Zawsze współdziałali z Radą Robotniczo - Żołnierską, mieli w niej swoich przedstawicieli i nic nie robili wbrew jej woli zawczasu wszystko uzgadniając.

Pracując bez wytchnienia naprawiali parowozy i wagony Zestawiali pociągi specjalne i przewozili nimi zboże... W chwili najgorętszych walk przewozili do Moskwy nasze oddziały robotnicze śpieszące z pomocą... Przedpaździernikowe wiece kolejarzy kończyły się tak samo jak u tkaczy — gotowością działania.

*

W mieście stał garnizonem 199 pułk rezerwy. Składał się z kompanii 11, 12 i 14, ale przeszkolona i gotowa była tylko 11. Dobre i to: w razie czego jedna kompania też może sporo dokonać.

W koszarach była wilgoć, brudy, zimno...

— Żołnierze! Towarzysze! Może już wkrótce będziecie musieli ruszyć... Nikczemny i zgniły rząd nie chce, a zresztą nie może dać ludowi pracującemu tego wszystkiego, co mu się z prawa należy...

— Dawno już trzeba było — zawołał ktoś z pośród szarej masy.

— Precz ze zdrajcami...

W zimnym, ceglanym budynku uderzały o mury groźne hasła, rozlegały się przekleństwa, nad zwarty tłum szarych płaszczy wznosiły się dumnie i trwały słowa uroczystej przysięgi, świętej przysięgi pójścia na bój...

— Liczymy na wasze bagnety, towarzysze, lada dzień mogą być potrzebne — dla obrony władzy radzieckiej...

— Niech żyje władza Rad! — rzucił ktoś w zapadłej na chwilę ciszy.

Szary tłum zaczął wołać niepohamowanie, w jakimś zapamiętaniu:

— Hura!... Hura!... Hura!...

— Niech żyje władza Rad! — zawołał ponownie ten sam głos.

Rozpętała się nowa burza okrzyków, entuzjazmu, palących słów przysięgi...

Żołnierze byli z nami...

*

Tak, w przeddzień wielkich dni, przygotowywaliśmy robotników tkackich, kolejarzy, żołnierzy... Niebawem mieli wziąć udział w walce, ale nie tutaj, lecz w Moskwie, dokąd wysłani zostali na pomoc.

Z taką siłą nie mielibyśmy zwyciężyć? Któż mógłby jej sprostać? Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że z nami będzie zwycięstwo...

A termin był coraz bliższy...

Z niepokojem czekaliśmy na sygnał, na ostateczną wiadomość. Aż nadeszła.

Na 6 wieczór, 25-go wyznaczone było posiedzenie Rady. Nie pamiętam już jakie rozpatrywano sprawy — ale nastrój tego wieczoru był wyjątkowy. Dyskutowano jakoś wyjątkowo gorąco i zapamiętale, zupełnie niezależnie od wagi zagadnień, pobudliwość była ogromna i uż chorobliwa wrażliwość. Raz po raz rozlegały się jadowite polemiki i repliki, mówcy wyłaniali się na ławach jak pęcherzyki na wodzie, gestykulowali przez chwilę i znikali. A na ich miejscu zaraz podwosili się nowi... I widać było wyraźnie, że wszystkie omawiane sprawy nie są istotą rzeczy, że służą tylko do wyładowania czegoś, co kipi gdzieś w głębi, czegoś najważniejszego, o czym wyłącznie chcieliby mówić, czego doczekać się nie mogą zebrani delegaci... Dziś przecież dwudziesty piąty. Może jutro z rana... a może jeszcze tej nocy nadejdzie... A może nawet już teraz, w tej właśnie chwili, tam grzmią armaty, szczekają kulomioty, idą do natarcia kolumny robotników i leje się, leje obficie krew bratnia... Ach, żeby już jak najprędzej wiedzieć! Wiedzieć wreszcie — wszystkim byłoby lżej...

Trzy razy próbowałem połączyć się z Moskwą przez telefon — nic z tego. W końcu dano mi redakcję „Izwiestii", usłyszałem niezapomniane słowa:

„Rząd tymczasowy obalony!"

Z trudem zachowałem przytomność. Wpadłem do sali, dałem znak — zapadła śmiertelna cisza. Wtedy, skandując każde słowo, rzuciłem w tłum delegatów:

— Towarzysze! Rząd tymczasowy został obalony!...

W mgnieniu oka sala oszalała. Ściskano sobie ręce, wskakiwano na ławki, niektórzy bili brawa, inni tupali nogami, lub uderzali laskami o pulpity i ściany rycząc z całych sił: „Towarzysze!... towarzysze!... towarzysze!..." Pewien porywczy ślusarz chwycił ciężki stołek, zamachnął się i omal nie cisnął nim w tłum. Okrzyki, wołania, intonowane pieśni — wszystko zlało się w przeciągły, ogłuszający zgiełk, huk, łoskot...

Ktoś zawołał:

— „Międzynarodówka"!

I nagle z powszechnego chaosu narodziły się, spotężniały i popłynęły dźwięki świętego hymnu... Śpiewaliśmy go przedtem, śpiewaliśmy i potem setki razy, ale nie pamiętam, by kiedykolwiek śpiew był taki jak tego dnia. Taka w nim była wewnętrzna, a teraz ujawniona moc, taki gorący, zapierający dech poryw i zapał, tak nieskalana, a głęboka wiara w każde słowo hymnu:

Wyklęty powstań, ludu ziemi,
Powstańcie, których dręczy głód!
Myśl nowa blaski promiennymi
Dziś wiedzie nas na bój, na trud.

Nie tylko śpiewaliśmy. Widzieliśmy przed sobą na jawie jak powstały szeregi robotnicze, jak idą, falując, na ostatni, śmiertelny bój.

*

Kiedy obejrzeć się wstecz — aż dech zapiera wspaniałość drogi, jaką otwarły niezapomniane dni Października.

Tłum. Irena Tuwim

SERGIUSZ MICHAŁKOW

STALIN

Gdziekolwiek byśmy polecieli,
Gdziekolwiek poszli, popłynęli,
Gdziekolwiek miasta budowali —
Najdroższe imię
Zawsze z nami!

Kiedy o szczęściu pieśni śpiewasz,
Kiedy ci bije w twarz ulewa —
Wiedz, że nie sam brniesz trudną drogą:
Najdroższe imię
Zawsze z tobą!

Kiedy cię zranią w ciężkim boju,
Kiedy przed samą śmiercią stoisz —
Łzy prędko otrzyj. Ranę ściśnij.
Najdroższe imię
Miej na myśli.
Wśród gór, czy rzek, o każdej porze
Ten człowiek zawsze ci pomoże!

Gdy za odwagę w krwawych bitwach,
Orderem dzielność twą nagrodzą —
Wiedz, w przyjacielskich rąk uściskach
Poczujesz nagle rękę Wodza.

Tłumaczył **Igor Sikirycki**

ALEKSY SURKOW

PAŹDZIERNIK

By zbudzić w ludziach wszystkie ludzkie moce
Potrzeba było burzy Października.
Lenin na ramię dłoń położył nam jak ojciec,
W głąb oczu spojrzał wzrokiem, co przenika.

I nagle proste, jasne i przezrocze,
Ujrzeliśmy przed sobą czasy w dali.
Jak byśmy los nasz w jego oczach
I los ojczyzny naszej wyczytali.

I jakby z oczu ktoś zasłonę zdarł nam,
I nowy wiek zabłysnął przez ciemności.
Wędrowca tak skroś lasu wilgną czarność
Ocean wzywa w nowe dalekości.

Bezskrzydłym tak u ramion rosną skrzydła,
Gdy przestwór wzywa, aby w górę wzlecieć.
I jawą stało się marzenie niedościgłe,
Co zaświtało poprzez mrok stuleci.

Tłumaczyła **Irena Tuwim**

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

PAŹDZIERNIK

Od salw październik chmurny tak daleko jaśniał,
Że się widziało jeszcze niezrodzone miasta,
W których zamieszka z ludźmi braterstwo i miłość
A ręce ładujące gniew do karabinów,
Nadadzą kształt troskliwy wyzwolonym siłom
I staną się kolebką przyszłych wielkich czynów.

Ręce o palcach chudych jakby kiełki ryżu
Rosnące w Chinach; ręce, które bruk Paryża
Rwą gniewnie — rewolucyjną klawiaturę;
Ręce skręcone w kakaowe kłącze bure
Albo świecące w trzcinie cukru krwawą plamą —
Te ręce milionowe walczą o to samo.

Są bliskie naszym dłoniom, które cios odparły,
Wskrzesiły z ruin miasta, z twarzy smutek starły
Krzywdzonych ludzi... Dzisiaj żyta kłos lub jęczmień
Jak broń trzymają mocno, aby było piękniej,
Aby w mieszkaniach stały pełne chleba stoły
I w oknach grały drzewa z akordami pszczoły...

Te dłonie stroją niebo miast fabrycznych dymem
Tak pięknie, jakby dym ten tęczy nosił imię,
Zmieniają klimat, ustrój, także serca ludzi,
Żeby spokojnie z rana można dzieci budzić...
A one uśmiechnięte spojrzą w przyszłość świata
I jak źdźbło świtu niosąc w dziobie gołąb wzlata.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

NAJSILNIEJSZA FALA

XIX Zjazd KPZR przyniósł w końcowym przemówieniu Józefa Stalina podsumowanie politycznego doświadczenia siedmiu lat, które upłynęły od zakończenia II wojny światowej. Położenie krajów zmarshalizowanej Europy, agresja imperialistyczna w krajach azjatyckich, kolejne demaskacje naszych „rodzimych" agentur imperialistycznych sił zaboru i wojny — nade wszystko zaś uczestnictwo w światowym ruchu obrony pokoju nauczyło nas wielkiej prawdy naszych dni — prawdy o istnieniu dwu, nieustannie ścierających się sił — obozu wojny, niewolnictwa, zagłady człowieka — i obozu pokoju, wolności, rozkwitu świata. Każda notatka o marshallowskim raju demontowanego przemysłu krajów Europy, o stanowisku burżuazji francuskiej wobec planów remilitaryzacji Niemiec, o odpowiedzi włoskich obszarników na głód milionowych mas chłopskich, o machinacjach politykierów irańskich w targach o bogactwo narodu, wreszcie droga hańby, jaką poszli nasi emigranci na służbę agentów wrogiego Polsce świata — to wszystko odkrywa co dzień oblicze burżuazji całego świata, ukazuje jej sprzedajny, antynarodowy, wrogi ludzkości charakter. Ofiary robotników francuskich i włoskich chłopów w walce o wyzwolenie kraju i o uchronienie go od nędzy i ruiny, postawa mas ludowych Niemiec Zachodnich wobec imperialistycznej okupacji, przebieg walki wyzwoleńczej ludu Chin, Korei, Vietnamu, Malajów, rosnąca siła i pomyślność krajów pokoju i socjalizmu — a wśród nich naszego kraju — oto są fakty mówiące nam gdzie tkwią siły walki o jasną przyszłość narodów świata.

Towarzysz Stalin jasno określił najistotniejsze zarysy dzisiejszego układu sił. Chorąży światowej walki o pokój i przyszłość ludzkości stwierdził, że dziś, gdy burżuazja *„...stała się inna, poważnie się zmieniła, stała się bardziej reakcyjna, straciła więź z ludem i przez to się osłabiła"*, rośnie potęga i wola walki demokratycznych i rewolucyjnych partii niewyzwolonych spod panowania kapitału krajów świata, rośnie ich najściślejszy związek z ludem, z jego potrzebami i dążeniami, z najlepszą tradycją przeszłości i z najgorętszym marzeniem o przyszłości każdego narodu.

Wielki temat światowego frontu walki o pokój, demokrację, wyzwolenie narodów z imperialistycznego jarzma znalazł dotychczas już swego wielkiego piewcę w wybitnym pisarzu radzieckim Ilii Erenburgu. Nowa powieść autora „Upadku Paryża" i „Burzy" obrazuje wypadki polityczne lat 1948 — 51, rysuje potężny obraz współczesnego świata targanego walką z podżegaczami do nowej wojny, w obronie człowieka i jego przyszłości. Książka Erenburga powstawała w latach 1950 — 51, współcześnie niemal z opisywanymi w niej wypadkami. Pisarz nie czekał na „ucukrowanie" się tematu, nie odczekiwał koniecznej ponoć według tradycyjnej poetyki przerwy między zaobserwowaniem faktu a jego artystycznym wykorzystaniem i przetworzeniem. Dowiódł tym, że pisarz zbrojny w jasną myśl marksistowsko - leninowską, tkwiący w samym centrum walki i związany z nią wszystkimi myślami, stworzyć może nie tylko ogólnikowy i naskórkowy reportaż czy tom szkiców publicystycznych, lecz właśnie głęboko przemyślany i zindywidualizowany, zdumiewający bogactwem i szerokością horyzontów obraz artystyczny, w którym obnażona została ludzka treść czynów i przemyśleń dziesiątków bohaterów, może napisać wielką panoramę historii naszego dnia dzisiejszego.

„Dziewiąta fala" Ilii Erenburga jest triumfem realizmu socjalistycznego nie tylko jako piękne i dojrzałe dzieło artystyczne, ukazujące nam wszechstronnie prawdę o człowieku współczesności, ale i jako doskonały sprawdzian politycznej operatywności walczącej sztuki radzieckiej, umiejącej bezzwłocznie, mądrze i celnie, z nieubłaganą przenikliwą pasją miłości i nienawiści reagować na najważniejsze sprawy współczesności, bić wroga na wszelkich odcinkach walki, odszukiwać i wspomagać sojuszników, bronić wszystkiego, co cenne i obrony godne. Triumf książki Erenburga tkwi i w tym także, że ocena sytuacji międzynarodowej dana w przemówieniu Stalina, wskazuje, że pisarz w ogniu walki dostrzegł podstawowe linie ataku i obrony wroga, że słusznie ocenił sytuację i siły własnego obozu, że umiał wyciągnąć trafne wnioski z rozkazów wodzów. „Dziewiąta fala" to w pełni zdany egzamin bolszewickiej oceny współczesności.

„Dawniej burżuazja pozwalała sobie na uprawianie liberalizmu, broniła swobód burżuazyjno - demokratycznych i przez to stwarzała sobie popularność wśród ludu. Obecnie z liberalizmu nie pozostało ani śladu. Nie ma już tak zwanej „wolności jednostki" — prawa jednostki przyznawane są obecnie tylko tym, którzy posiadają kapitał, a wszyscy pozostali obywatele uważani są za surowy materiał ludzki, zdatny jedynie do wyzysku. Zdeptana została zasada równości praw ludzi i narodów, zastąpiono ją zasadą pełni praw wyzyskującej mniejszości i pozbawienia wszelkich praw wyzyskiwanej większości obywateli — mówił J. Stalin.

Nie tylko losy młodego artysty murzyńskiego Dawida, zagrożonego krzesłem elektrycznym za natrętne amory białej damy, ukazują, jak sponiewierano człowieka w „nowym świecie" demokracji po amerykańsku. Amerykański styl życia ilustruje lepiej jeszcze nagonka na adwokata Clarka, który ośmiela się bronić „czarnych" i nie wierzyć w zaborcze plany „czerwonych", albo losy poczciwego skądinąd, choć głupawego krawca, zmuszonego szantażem do wysługiwania się policji. W zmarshallizowanej Francji prawo strajków i prawo manifestacji politycznych dawno już według rządzącej burżuazji przestało wchodzić w skład „praw obywatela". Doświadczenia Mado w czasie strajku górników mówią o tym najlepiej. Trudno też mówić o „prawach człowieka" w kraju rosnącego terroru policji i bojówek faszystowskich; w kraju, gdzie swoboda nauki wobec najbardziej cynicznych metod administracyjnego ucisku dawno stała się wytartym frazesem bez pokrycia. Historia dra Morillota, omal nie zgubionego przez prowokację policyjną, demaskuje sprawiedliwość „niezależnej" władzy sądowniczej burżuazyjnego państwa nie gorzej niż „amerykańska tragedia" Murzyna Dawida czy dzieje prowokacji FBI w stosunku do obywatela radzieckiego Minajewa. Nie ma istotnej różnicy między metodami dławienia wolności w państwach imperialistycznych, choćby różne były tradycje wolnościowe ich burżuazji, choćby różny był teraz stopień faszyzacji ich życia społecznego i różny układ sił społecznych.

„Dawniej burżuazja uchodziła za głowę narodu, broniła praw i niepodległości narodu, stawiając je „ponad wszystko". Obecnie ani śladu nie zostało po „zasadzie narodowej". Obecnie burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niepodległość narodu. Sztandar niepodległości narodowej i suwerenności narodowej wyrzucony został za burtę. Nie ulega wątpliwości, że sztandar ten wypadnie podnieść wam, przedstawicielom partii komunistycznych i demokratycznych i ponieść go naprzód, jeżeli chcecie się stać kierowniczą siłą narodu. Nie ma poza tym nikogo, kto mógłby go podnieść" — mówił Stalin.

Do najcelniejszych partii książki Erenburga należy demaskacja narodowej zdrady burżuazji francuskiej. Erenburg już w *„Upadku Paryża"* potrafił wskazać, że klęska Francji datuje się od czasu, który na długo poprzedził zniszczenie jej siły obronnej przez hitlerowskie dywizje. Zdrada monachijska, próba zduszenia Frontu Ludowego i kapitulacja przed faszyzmem, nagonka na Związek Radziecki i oszukańcze manewry, mające wmówić francuskiej opinii publicznej rzekomą chęć porozumienia z ZSRR przy równoczesnej koncepcji poszczucia Hitlera na kraj socjalizmu — te fakty zadecydowały o zgubie Francji jeszcze przed uderzeniem 1940 r. *„Burza"* Erenburga, książka o czasach europejskiej walki z faszyzmem zarysowała dzieje narodu francuskiego w czasie okupacji faszystowskiej — w czasie zdrady rządu Vichy i bohaterstwa Ruchu Oporu. Linia podziału, odcinająca od narodu francuskiego klikę kolaboracjonistów, burżuazyjnych handlarzy wolnością i godnością ojczyzny, nie zatarła się i w czasie ośmiu lat „wolności". W „Burzy" o losach wielu bohaterów powieści — mieszkańców Paryża — decyduje gestapowiec major Schircke — w „Dziewiątej fali" zastąpił go oficer amerykańskiego sztabu generalnego Neales; ale major Schircke przygotowuje remilitaryzację Niemiec w Związku Rezerwistów, kryptohitlerowskiej organizacji byłych „weteranów", a Neales narzuci burżuazyjnemu rządowi francuskiemu zwolnienie bohaterów Ruchu Oporu ze stanowisk, na których przeciwstawiają się amerykańskim planom zawładnięcia Francją. Francuscy politykierzy prześcigają się w staraniach o poparcie Nealesa. Świetnie uchwycony typ sprzedajnego „męża stanu", Bedier — szara eminencja kół rządowych, opierająca swe stanowisko polityczne na ustępliwości wobec żądań amerykańskich, wiarą w zadowolenie mocodawców osładza sobie trudy i przykrości lokajstwa: *„Czemu Neales chowa wszystkie świństwa dla mnie? Mógłby powiedzieć to samo Quille'owi albo Schumanowi. To oczywiście podnosi moje stanowisko: Bidault widzi, że Amerykanie mi ufają..."* Amerykanie ufają obrotnemu ministrowi do czasu. Potężny gniew ludu Paryża przeciw organizatorom wojny, zwycięskie strajki, przyjęcie zgotowane Eisenhowerowi — wszystko to podrywa pozycję Bediera, ukazuje mu perspektywę odpoczynku po ministerialnych trudach na nudnej posadce urzędniczej. W kąt idzie też Schircke, który zrobił swoje, a jego osoba niepotrzebnie drażni tylko francuską opinię publiczną. Amerykanie nie robią sobie zbyt wielu ceremonii ze swymi marionetkami w europejskich koloniach. Kukiełki tanio sprzedając przyszłość swojego kraju, łatwo idą na wszystkie ustępstwa.

O Mado, bohaterce ruchu oporu i działaczce komunistycznej, mówi w czasie strajku górników Nordu stary Andre: *„Nazywano ją w Maquis France, dobre imię, ona dla mnie jest Francją"*... Francją są tylko ludzie, którzy widzą niebezpieczeństwo grożące krajowi, jego suwerenności, jego pomyślności gospodarczej, spokojnej przyszłości jego dzieci, honorowi wielkiego narodu. Słowa Thoreza, że Francuzi nie będą nigdy walczyć przeciw krajowi socjalizmu, stały się hasłem patriotyzmu dla rzesz ludu francuskiego. *„Gdy towarzysz Thorez lub towarzysz Togliatti oświadczają, że ich narody nie będą walczyły przeciw narodom Związku Radzieckiego, to jest to poparcie, przede wszystkim poparcie walczących o pokój robotników i chłopów Francji i Włoch, a następnie również poparcie pokojowych dążeń Związku Radzieckiego..."* — mówi Józef Stalin. Słowa prawdziwego patriotyzmu, słowa miłości dla kraju i troski o jego losy padają w książce tylko z ust ludzi, którzy zrozumieli groźbę niesioną światu przez imperializm. *„Strach mnie ogarnia, Anno... Strach o Amerykę..."* — mówi adwokat Clark; lęka się o Niemcy robotnik Erich, walczy o Francję Yvonne i robotnica Marie. Dziennikarz Sablon, niegdyś *„mieszanina anarchisty z liberałem minionego stulecia"*, którego burżuazyjna klika francuska chciała uczynić agentem amerykańskiego wywiadu, po doświadczeniach pobytu w Związku Radzieckim, po doświadczeniach walki o pokój myśli w dniu demonstracji przeciw Eisenhowerowi: *„Szczerze mówiąc niewiele orientuję się w polityce, nie podejmuję się powiedzieć, czy słusznie rozumują komuniści, ale teraz oni bronią Francji — i to nie ulega wątpliwości... Można się kłócić o zasady, ale kiedy idzie o Francję, kończą się wszelkie spory. Tutaj trzeba wytrwać do ostatka. Nie powtórzy się rok czterdziesty, to było omdlenie, niesłusznie wielu uważało je za zgon. Mamy teraz Verdun, za granicą tego zdaje się nie rozumieją; nie oddamy Francji"*.

Przemiana Sablona jest elementem doniosłej i niezmiernie ciekawie zarysowanej przez Erenburga sprawy, mianowicie — problemu ideowej ewolucji zachodnio - europejskiej inteligencji twórczej. Na przykładach losów ludzi o różnych specjalnościach, o różnych zainteresowaniach kreśli Erenburg wielki obraz będący odpowiedzią na pytanie Gorkiego: *„Po czyjej jesteście stronie twórcy kultury?"*. W ogniu walki coraz wyraźniej rozwiewają się złudzenia neutralności intelektualisty, złudzenia „trzeciej siły", złudzenia izolacji pracowni uczonego i artysty. Traci je amerykański profesor Adams, niegdyś lękający się zarzucać na haniebną nagonkę przeciw bojownikowi pokoju prof. Dumasowi. Drogę do prawdziwie wielkiej sztuki odnajduje malarz Sembat w zjednoczeniu z walką i dążeniami swego narodu, w pracy nad obrazem przedstawiającym kobietę wiodącą manifestację. W „Dziewiątej fali" bije nurt gorącej walki o kulturę narodów świata, o ocalenie jej przed szturmem dolarowego chamstwa, o odrodzenie godności naukowców i artystów, których imperializm chce uczynić *„lokajami ludzi bogatych"*. Nurt głębokich dyskusji ideologicznych, wspaniałych gorących polemik z wszelkimi argumentami zakłamanej propagandy „obrońców zachodniej kultury", wzbogaca intelektualną treść książki; wskazuje, jak dobra książka mądrego pisarza może być jednocześnie głęboko agitacyjna i mobilizująca, a jednak jak najdalsza od łatwizny, sloganu, wytartej, zbanalizowanej argumentacji, złej propagandy.

Książka Erenburga walczy i agituje nie tylko świetnymi partiami błyskotliwej polemiki politycznej; nie tylko zjadliwą i ciętą satyrą demaskującą moralną nicość, wewnętrzną pustkę, duchowe chamstwo bohaterów amerykańskiego stylu życia i ich wasalów; nie tylko wspaniałymi, mocnymi, wzruszającymi obrazami tych ludzi, którzy w każdym kraju podnoszą sztandar walki o sprawę wolności, pokoju, postępu i szczęścia własnego narodu. Jednym z najmocniejszych elementów, rysujących pozytyw ideologiczny i moralny, przeciwstawiony groteskowo-ponuremu światu atlantydów, są partie powieści poświęcone ludziom radzieckim. Krytyka radziecka słusznie zwracała uwagę, że czołowe znaczenie ludzi radzieckich w

(dokończenie na str. 7)

MICHAŁ LEŚNIAK

DWA ŚWIATY – DWIE DYPLOMACJE

WYRAZ „dyplomacja", nawet w potocznej mowie, używany był jako symbol, stanowiący antytezę normalnych ludzkich stosunków, opartych na dobrej wierze, szczerości i zaufaniu. Język dyplomatyczny uchodził za coś przeciwstawnego jasnym i szczerym wypowiedziom. Pomimo to uznawany był za „wyższą", specjalnie wyszukaną i wyrafinowaną formę wyrażania swych myśli i poglądów. Znane powiedzenie Talleyranda, że „mowa służy ukrywaniu myśli" — cytowane były nie jako cyniczny paradoks, lecz jako wyraz „mądrości politycznej".

Legendy te pierzchły z chwilą zjawienia się na międzynarodowej arenie, dyplomacji radzieckiej.

Rzeczywiście. Gdy czytamy lub słyszymy przemówienia Mołotowa, Wyszyńskiego lub któregokolwiek z dyplomatycznych przedstawicieli ZSRR, od razu czuje się, że przemawiają nowym językiem ludzie nowego świata, pierwszego w świecie państwa socjalistycznego, państwa robotników i chłopów.

Jakże wielki kontrast z tymi przemówieniami stanowią wypowiedzi dyplomatów imperialistycznych — epigonów starej szkoły dyplomacji burżuazyjnej.

Aby móc odcyfrować ich język, pojąć ich mentalność i ustalić ich rodowód — dobrze jest sięgnąć do przeszłości i poznać sylwetkę i działalność jednego z twórców tej szkoły i klasycznego jej przedstawiciela — Talleyranda.

Błyskotliwą i niebywałą, nawet jak na ówczesne czasy karierę rozpoczął Talleyrand w okresie, kiedy burżuazyjna rewolucja francuska, obalając odwieczną feudalną monarchię, zapoczątkowała nowy okres w historii.

Osoba i działalność księcia Talleyranda de Perigord — ministra spraw zagranicznych Francji w okresie Dyrektoriatu, Cesarstwa i Restauracji — była przedmiotem wielu prac naukowych, pseudonaukowych i literackich. Jest rzeczą charakterystyczną, iż niezależnie od oceny jego sylwetki moralnej i intencji oraz metod jego działania, autorzy tych prac — czy będzie to jemu współczesny Stendhal, czy nam współcześni, Francuz - kollaboracjonista Fabre-Luce i Amerykanka Bowmann-Dodd — zgodnie uważają Talleyranda za niedościgły wzór dyplomaty nowoczesnego i popularyzują kult nie tylko jego osoby, lecz i jego metod dyplomatycznych. Pierwszą odmienną ocenę Talleyranda, dali Marks i Engels (tomy I, V i VII „Dzieł"). Ocena ta, wnikliwa i trafna, była jednak z natury rzeczy fragmentaryczna, gdyż obaj genialni autorzy nie rozporządzali materiałami, które są nam dziś dostępne. Dopiero uczeni radzieccy, na podstawie ujawnionych obecnie źródeł, pokusili się o pełną i syntetyczną ocenę osoby i działalności tego „ojca burżuazyjnej dyplomacji".

Wśród prac tych wyróżnia się kapitalne dzieło znanego historyka radzieckiego, Eugeniusza Tarle. Tarle wnikliwie analizuje motywy i pobudki działania księcia Benewentu i odrzucając wszystkie narosłe z biegiem lat legendy, daje pełną i głęboką ocenę Talleyranda, jako człowieka i dyplomaty. Czytając to dzieło rozumiemy, dlaczego polityk uznawany nawet przez współczesnych, za uosobienie przewrotności i przekupstwa, minister, który sprzedawał po kolei wszystkich, nawet tych, którzy go kupowali, człowiek kompletnie amoralny, zwany już nie kłamcą, ale „ojcem kłamstwa" — mógł przez całe swe życie nie tylko kierować z powodzeniem polityką zagraniczną wielkiego państwa w najburzliwszym jego okresie, lecz jest dotąd w świecie kapitalistycznym uważany za twórcę szkoły nowoczesnej dyplomacji i za wzór godny naśladowania. Tarle wyjaśnia sekret tego powodzenia, polegający na tym, że Talleyrand od razu i bezbłędnie przewidział nieuniknioną politycznie zagładę swej własnej klasy społecznej i całkowity triumf burżuazji oraz natychmiast wyciągnął z tego konsekwencje. Ten wykwintny arystokrata-sybaryta, ten bonviveur, zdradzający po kolei wszystko i wszystkich, nie zdradził jednak nigdy burżuazji, choć klasa ta, była mu osobiście obca i antypatyczna.

Tarle powiada: „Talleyrand był jednak człowiekiem nowego, burżuazyjnego okresu, nie tylko z tego względu, że zdradzając przez całe swe życie wszystkie rządy służył wytrwale burżuazji, i współdziałał w umacnianiu jej wszelkich osiągnięć, jakie uzyskała podczas Rewolucji i jakie starała się zachować przy Napoleonie i po jego upadku.

Talleyrand wiedział również że nastąpiły czasy, w których zarówno w kraju jak i u sąsiadów należy się bardziej liczyć z bankierem niż z faworytą króla, bardziej z obligacjami giełdowymi niż z przejętymi intymnymi liścikami, z pojedynkami zaś o tyle tylko o ile walka toczy się przy pomocy taryf celnych, a nie na rapiery".

Zestawmy jego politykę z polityką dzisiejszych, dolarowych i neohitlerowskich dyplomatów. Zasady, chwyty, metody — te same, choć jakże inne czasy.

Talleyrand, torując drogę zwycięskiej wówczas burżuazji, spełniał bądź co bądź (choć bezwiednie) postępową rolę. Dopomagał w likwidacji resztek ustroju monarchiczno-feudalnego. Jego obecni epigoni nie odziedziczyli jednak jego bystrości politycznej w ocenie rzeczywistości i umiejętności przewidywania. Po stu latach tkwią z uporem na tych samych posterunkach, nie rozumiejąc, że okres hegemonii burżuazji skończył się bezpowrotnie, że nowe siły wkroczyły na arenę świata i zmieniają jego oblicze, a procesu tego nic już nie zdoła zatrzymać.

Toteż cała taktyka dzisiejszej dyplomacji dolarowej, to tak zwane „zabiegi opóźniające", to wpychanie kija w szprychy toczącego się koła historii.

W kapitalnym, zbiorowym dziele historyków radzieckich, pod tytułem „Historia dyplomacji", Tarle w tomie III wymienia niektóre z najbardziej charakterystycznych, a tak dobrze nam znanych z ostatnich lat chwytów. Są to:

agresja pokryta motywami obrony,

agresja pokryta motywami ideowości i bezinteresowności,

„obrona" małych państw,

zawieranie traktatów przyjaźni dla uśpienia czujności przeciwnika,

wykorzystywanie pacyfistycznej propagandy w celu dezorientacji przeciwnika,

polityka łgarstw, oszczerstw i szantażu.

Takiemu pojmowaniu roli i zadań dyplomacji przeciwstawiali się od pierwszej chwili twórcy i założyciele Związku Radzieckiego,

W uchwalonym na wniosek Lenina na II Wszechrosyjskim Zjeździe Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, w dniach 7 i 8 listopada 1917 roku „Dekrecie o Pokoju", zawarty jest następujący rozdział:

„Rząd odrzuca tajną dyplomację, wyrażając ze swej strony niezłomną wolę prowadzenia wszystkich pertraktacji zupełnie jawnie wobec całego narodu oraz przystąpienia bezzwłocznego do pełnego opublikiwania tajnych umów, zawartych lub potwierdzonych przez rządy obszarników i kapitalistów".

Trzydzieści pięć lat walki i pracy dyplomacji radzieckiej — to ciągła nieustanna walka o wprowadzenie nowych zasad w stosunkach międzynarodowych. To walka o pokojowe współżycie narodów świata. To walka o pokój. To jednocześnie nieprzerwane pasmo triumfów i zwycięstw, które przyrównać można tylko do triumfów i zwycięstw Armii Radzieckiej. Czemu to przypisać — wyjaśnia Tarle we wstępie do pracy swej o Talleyrandzie:

„...wielkie zadania stojące przed dyplomacją radziecką stają się łatwiejsze dzięki władaniu przez nią potężną bronią, której nie posiadają jej przeciwnicy, a którą jest nauka marksistowska o prawach rozwoju społecznego. Dyplomacja radziecka dzięki tej niezawodnej teorii nie tylko potrafiła orientować się w wypadkach zachodzących w życiu międzynarodowym, lecz zdołała również przewidzieć kierunek dalszego ich rozwoju. Dyplomacja radziecka, która wyprowadza międzynarodową politykę świata na zupełnie nową, jasną drogę, walczy bezustannie o usunięcie ze stosunków międzynarodowych zasady wiecznej „wojny wszystkich przeciwko wszystkim".

„...ta tradycyjna zasada burżuazyjnej dyplomacji zachowała całą swą moc, nie mogły się bowiem zmienić podstawy walki dyplomatycznej pod rządami społecznego i ekonomicznego ustroju, w którym społeczeństwo podzielone jest na klasy".

Dlatego też, słysząc przemówienie dwóch szkół dyplomatycznych, odnosimy wrażenie, że jest to język dwóch odmiennych światów.

Michał Leśniak

ZBIGNIEW ZALEWSKI

NAD BRZEGIEM WISŁY

KIEDY na wysokości Parchatki przesiadałem się ze statku do łodzi, mogłem jeszcze objąć wzrokiem Puławy. Tonęły w sadach, czerwieniejących owocem i liśćmi. Dwugarbna wyżyna zsuwała się od Puław do Parchatki. Szumiała ostrzej przy brzegu fala. Szumiały prastare sokory. Brzeg zbliżał się poszarpany językami wydm i wgłębień. Otulała go wiklina, ta pierwsza pomocnica człowieka, kiedy mieszka nad rzeką i drży przed zaborem ślepego żywiołu.

Na brzegu grupa chłopów zanurzonych po kolana w lepkiej zaprawie. Szuflami podrzucają na wał żwir, zmieszany z piaskiem i zaprawiony cementem. Trochę dalej młodzi rozbijają głazy, furmanki, zaprzężone w zgrabne koniki, rozwożą usypiska kamieni na oznaczone punkty wału.

Nagle pociemniało, począł padać deszcz. Zerwał się wicher. Już nie widziałem kamieniarzy ani ruchliwych koników. Stukot młotów zagłuszyła fala. Ludzi przesłonił deszcz.

— Nie bój się pan! — huknął czyjś głos i tuż obok wynurzyła się głowa starego chłopa. Deszcz zmywał porytą zmarszczkami twarz. Chłop mrużył oczy uśmiechając się.

— To nie straszne. Deszcz nas nie zgoni — odwrócił się teraz w stronę Wisły — i ona już nas nie zgoni.

Jeszcze milczałem zaskoczony „burzą", jak to określiłem w myślach i opiekuńczą postawą chłopa, który przewidział u wycieczkowicza wstrząs i zdumienie. Bo też od Wisły, gdzie dopiero co można było jeszcze liczyć fale, biła teraz piana i biała mgła, tyle wszystkiego.

✻

Stary chłop nazywa się Franciszek Borowiec. Nocowałem w jego chacie. Najbardziej to wysunięta nad brzeg zagroda. Ale choć noc, choć Wisła huczy jakby powódź podchodziła tuż, tuż, teraz siedzę przy stole, od komina gospodyni podaje już trzecie danie: kluseczki z powidłami śliwkowymi i herbatę a cukru ile chcesz. Stary Borowiec zapala papierosa, kluseczki mu stygną.

— Pójdzie zaraz do okna — mówi żona. Stary rzeczywiście wstaje i mnie wyciąga zza stołu. W ciemnościach dwa światełka.

— Kazimierz i Bochotnica — mówi — Mają już elektrykę.

Zastaniawiam się. Słynny Kazimierz nie miał przed wojną światła elektrycznego? A nie miał, ma go dopiero od dwóch lat. Bochotnica od roku.

Stary od okna nie wraca.

— Tyle przelewa się wody, a w Puławach, Kazimierzu i Bochotnicy prąd lądowy, z Lublina. Ale my jej przykrócimy cuglów — pięścią wygraża ciemnościom za oknem, domyślam się, Wiśle. — Jeszcze dwa lata temu zabrała nam 11 hektarów ziemi. A teraz mamy już śluzę i kończymy tysiąc pięćsetny metr wału. Cała Parchatka będzie bezpieczna.

Dziwny ten stary. Przypomina mi inżyniera nad mapą i latarnika nad morzem. Co wieczór staje w oknie, jak na posterunku latarnik nadwiślański. Co wieczór na tle ciemności, wykrojonych futryną okna, suwa ręką jak po najbardziej szczegółowej mapie. Teraz właśnie wskazał śluzę.

— Tylko powiadają starzy gospodarze, że jak będzie wielki spad deszczów, śluza nie pochłonie wszystkiej wody. Sam gadałem inżynierowi, że 65 cm. średnicy to mało. Na metr by się przydało. Ano zobaczymy. Wielkie oberwanie chmur pamiętam przed ośmiu laty.

Teraz wskazał pewnie na szosę, bo nowy zaczął się wątek.

— Do cukrowni możnaby zwozić buraki krypami a tak, jedź do kolei a droga daleka i czasu tyle. W Bochotnicy tytoń uprawiają i chłop se myśli, żeby tak węgiel ze Śląska nadjechał barkami do suszarni, drzewo od gór, maszyny.

Żeby uregulować naszą Wisłę, to i wały by nie były potrzebne a tyle przy nich zachodu.

Słuchałem starego i jak w półśnie, w szumie Wisły zabrzęczały mi uprzęże, zadudniły furmanki, spiętrzone burakami. Omotani w burki popędzali chłopi małe a żwawe koniki ostrym krzykiem: Wio! Wio!

Poczułem, że kleją mi się powieki. Poszedłem spać. Na stole zostawiłem **„Trybunę Ludu"** z artykułem o wielkim planie regulacji Wisły. Nazajutrz stary Borowiec, wyprawiając mnie do Bochotnicy, wetknął mi w rękę gazetę.

— Czytałem wprzódzi. Czytałem. Tu koło nas stanie elektrownia!

✻

O Bochotnicę ledwie zawadziłem. Borowiec tyle mi bowiem naopowiadał o kapryśnej pogodzie nad Wisłą, że słoneczny poranek zmienił mój plan! Chciałem ujrzeć Kazimierz w pełnej krasie. Więc przez Bochotnicę jak najśpieszniej Krótka a dziwna rozmowa z sołtysem ostrzegała wprawdzie, zatrzymaj się, okop na dłużej. Alem nie posłuchał ostrzeżenia. Nad głębokim wąwozem bochotnickim wznosi się baszta kazimierzowska. Legenda głosi, że ma ona podziemne połączenie z basztami i śpichlerzami w samym Kazimierzu. Powędrowałem szosą, w przyzwoitej odległości od Wisły, przy pogodzie, pośród wzgórz, pokrytych akacją i płonących czerwienią jarzębin. Nie zabrakło w tym pejzażu i złota, jakim rozjaśniły drogę rozłożyste klony. Na zboczach szumiały sokory, dodając brzegowi Wisły tajemnicy wieków.

Stanąłem wreszcie nad Kazimierzem. Powyżej ciągnęły się stare spichrze, potężne ociosy o gotyckiej stromości dachów. Było ich ongiś 24. Z ruin odremontowano część, służą teraz jako hotele turystyczne.

W dole na ryneczku dwie bliźniacze barokowe budowle, wokół nich zgrabne domki renesansowe. Z daleka, kiedy i ludzie wydawali się podobni do mrówek, miasto miało wdzięk dziecięcej zabawki. W wąsko sklepionych ścianach migotały ufnie małe okienka. Na rynku pulsowało życie. Ustawiano kosze i obręcze wiklinowe i ładowano je na platformy samochodów. Od strony wzgórza z basztą — jak później sprawdziłem — spółdzielnia przetworów owocowych segregowała olbrzymie skrzynie i beczki, pełne owocowej słodyczy na eksport.

— Towar ten mógłby iść Wisłą — żalił mi się następnego dnia kierownik spółdzielni — Chłopi również przywożą owoce furmankami a przecież wszyscy mieszkają nad rzeką...

✻

Pogoda jeszcze trwała. Wróciłem nad brzeg, nad wikliny, bazę kazimierzowskiego przemysłu wiklinniarskiego. Na kołyszącej się łódce stał człowiek, okryty obszerną nieprzemakalną peleryną i dyrygował.

— Tutaj, tutaj, ciaśniej stawiać kozły!

Nim się przyjrzałem chłopom, którzy co chwila wyłazili z kilku łodzi na mieliznę i na jej krańcach stawiali w kozły zbite deski — uwagę moją zaprzątnęła peleryna. Jak nie bać się Wisły, kiedy ten stary wilk rzeczny i pod słońcem nie zdejmuje peleryny. Wilk rzeczny okazał się „wodnikiem", wartownikiem wiślanym. Nazywa się Antoni Pietras.

Wtajemniczył mnie w arkana obłaskawiania Wisły. Oto po drugiej stronie inna grupa chłopów drewnianymi młotami wbija w rzeczny muł takie same kozły. Widzę, jak na przestrzeni 200 m woda ujęta między mieliznami w drewniane koryto kozłów żłobi pokornie głębsze łożysko..

— Ale to nie na długo starczy — psuje mój zachwyt wąsaty wodnik. — Nie taka ta woda uległa. Przerzuci swój nurt i znów gonić trzeba na inne miejsca z kozłami.

Od strony Puław zapieniła się fala i nagle z szumem nadpłynęła pogłębiarka, wyczytałem: „Smok".

— Zmniejszyć parę! — zakrzyknął wodnik a do mnie ciszej — o, widzicie, dwie pogłębiarki kursują na odcinku tych paru km. od Puław do Kazimierza. Jak z jednej strony wyłowią trochę wraków i oczyszczą dno z mułu, płyną z powrotem do Puław a przez ten czas znów rzeka naniesie, wiadomo. Ale, czytaliście... przyjdzie na nią kres. Zaporę wodną tu zbudujemy!...

Miałem taką minę, że stary Pietras aż się zaczerwienił i począł się wycofywać — no nie zaraz, nie jutro, za parę lat, ale tak stoi w programie... Czytaliście?

A moja mina? W redakcji przecież po dziesięć razy przypominano mi, abym nie był tylko obserwatorem: agituj, czytaj wszędzie o planie regulacji Wisły! A tu nad brzegiem Wisły już drugi raz mnie uprzedzają.

W jednej tylko Bochotnicy...

✻

Widok był taki. Pogłębiarka sapała pod pełną parą. Wodnik wykrzykiwał rozkazy, a chłopi przesuwali się po obu mieliznach jak na szachownicy.

Na brzegu stromym, piętrzącym się górą kamieni o barwie piasku i wapna łomotały młoty żelazne Pośród kamieniarzy kręcił się majster Kazimierz Doraczyński. Kolej na niego.

— Kamienia to mamy chyba dla całej Polski. A kamień tu dobry. Z niego przecież pobudował Kazimierz Wielki baszty i śpichrze i jeszcze stoją, sami widzicie. Wisła wtedy musi była głęboka, szedł kamień w górę i w dół rzeki, o, szedł. Gdyby można go teraz pchać wodą, toby tu dopiero zadudniło od roboty. Bo w naszych wsiach ziemia cudo: mady, ale ludzi jak szarańczy.

— W kwietniu i w maju zabrali jeszcze od nas 120 m kamienia dla regulacji Wisły koło Warszawy, ale potem woda opadła. I musieli kamień pociągami. A stacja w Puławach Dowozić trzeba samochodami. To drogo kosztuje. Biorą coś 60 zł za tonę, a Wisłą kosztowałaby tona 3 zł...

— Zapory wodnej nam trzeba, zapory...

Tym razem mogłem agitować. Kamieniarze zarzucili młoty. Wyczytałem artykuł od deski do deski. Majster Doraczyński przybił go ręką, jak to się czyni w miasteczkach przy umowie kupna i sprzedaży i zakończył: nie mówiłem? Słyszeliście. Naszym kamieniem ocembrujemy Wisłę. Każde dziecko w Polsce będzie o nas wiedziało.

Nie pierwszy to raz tutaj nad Wisłą posłyszałem nutkę prowincjonalnego samochwalstwa. Już w rozmowie z Borowcem uderzyła mnie ta ważność miejscowego rejonu. Teraz majster Doraczyński... że każde dziecko w Polsce...

Próbowałem w ciągu całej podróży zebrać odpowiedzi na to pytanie. Pierwsza, jaka mi się nasunęła, to rola samej Wisły. Tędy przecież szły najkrócej i najwcześniej wszelkie informacje. Tędy dla chłopa flisaka i wędrowca za pracą w rozmowach pisała się gazeta krajowa. Tutaj na głównym i wartkim szlaku słyszał o Kielecczyźnie o Lubelskiem, o Podkarpaciu i Śląsku, o Warszawie, o Pomorzu, o Gdańsku i Żuławach. Tutaj można było wiedzieć o kraju, stąd chyba ten ton na miarę nie powiatową i nie wojewódzką nawet. A z drugiej strony patriotyzm miejscowy i jak ta wezbrana Wisła — pycha nieokiełznana. Dwa dni później czytałem wypracowania uczennic liceum w w Kazimierzu (10 klasa) „Uregulowanie Wisły przyniesie wielkie korzyści dla naszego powiatu, który ponosi największe straty wzdłuż Wisły od Dęblina do Józefowa".

„Mamy jedną kolej przez Puławy i dwa mosty. Regulacja Wisły rozwinie komunikację na Wiśle i poprzez rzekę powiąże z naszym powiatem inne w gospodarczej wymianie. Komunikacja rozwinie przemysł. A mamy kamieniołomy i wapień, mamy zaplecze rolne dla fabryk przetwórczych".

Nie tak bardzo przesadził majster Doraczyński. Młode pokolenie w szkołach marzy o sławie swojego powiatu.

„Kazimierz kiedyś był ważnym portem, zapory wodne i elektrownie znów uczynią z niego miasto duże, Kazimierz Polski Ludowej".

✻

Z majstrem Doraczyńskim zgadałem się o Bochotnicy. Zna ją dobrze. 13 km od Puław, 4 km od Kazimierza. Ziemia lessowa, jak tu wszędzie. Ale na tej ziemi przed wojną pięć osób siedziało na półtora hektarze. Antoni Szymczuk miał na ten przykład 80 arów. Chciał dokupić, ale z czego? Więc sprzedał krowę i konia. Pluta miał 1,20 ha, sprzedał konia, krowę, świnię i owce a nawet pług i wóz, aby wykupić od dworu 2 morgi. I dorobili się kompletnej ruiny, bo co można bez obornika, siły pociągowej i narzędzi?

W tej Bochotnicy to nawet ogień pożyczano sobie z chałupy do chałupy. Bielizny poza czterema gospodarzami nikt tam nie nosił a starych, młodych i dzieci było z 1200. Na koniec hitlerowska artyleria zrównała z ziemią 100 zagród.

Więc domy, które widziałem, więc ta duża wieś odnowa wybudowana? A co wy myśleli — zaperzył się Doraczyński — wszystko od nowa! W 45 r. jak się front zatrzymał na Wiśle, mówił do nas radziecki oficer: **„Nie tuzi. Plachoje wremia proszło! U nas bolszije zawody strojatsia w odin god. Pridiot i wam szczastliwoje wremia. My wam pomożem stroit nowuju żiżń".**

No i zaczęło się. Na zachód wyjechało z 80 osób. Około 30 procent chłopów pracuje w przetwórni Bacutilu w Puławach, w przetwórniach owocowych w Kazimierzu i Zagłobie, w fabryce w Poniatowej, w cukrowniach w Opolu i Garlewie, w Zarządzie Wodnym, w gminnej spółdzielni, na wale, w kamieniołomie. Drugie tyle dziś ma 3 — 5 ha a o połowę mniej gospodarzy siedzi na hektarze. Inaczej się też gospodaruje. Dawniej dobra pańskie obejmowały Celejów, Bochotnicę, Wierzchowin, Klementowice.

Tu czynię przerwę we wspomnieniach majstra Doraczyńskiego aby dodać to, co wyczytałem w papierach, troskliwie przechowanych w Celejowskiej Gminie. Kiedy Sienkiewicz pisał „Rodzinę Połanieckich" dziedzice Klementowic stawiają 3 młyny na złocistą pszenicę, aby szła do Warszawy i Gdańska. W 1889 r. na folwarku uprawiano już pszenicę i grykę, już rzepak i buraki cukrowe a u chłopów, jak się zaklina Doraczyński, do wyzwolenia nikt na tych madach nie wyszedł poza żyto i kartofle.

Dopiero po wojnie Bochotnica stanęła na kontraktacji tytoniu, rzepaku, buraków, fasoli, lnu i konopi.

Dorobili się elektryczności i GOM mają ładny: 17 siewników zbożowych, cztery młocarnie, dwie żniwiarki, trzy kopaczki i snopowiązałki.

✻

Zabił mi majster nowego klina. Cóż więc z tą Bochotnicą, jak tu mawiają, „względem" Wisły? Kiedy tam wpadłem i wprost na dom sołtysa, wyrósł jak spod ziemi jego synek. Domy stały wysoko na usypiskach skał, widok niezwykły, na co malec, niepytany jeszcze, sam dał wyjaśnienie.

— Jak woda zaleje, to tato łódką podpływa i na siedząco zrywa jabłka i śliwy. A wałów nie wybudowano u nas, bo gospodarze nie chcą się zgodzić na taki wał, jaki Rada ma w projekcie.

— A, co ty, tam wiesz — z domu wyjrzała głowa sołtysa — co ty wiesz!

A co wiedział sołtys? Inżynierowie chcieli na razie zbudować wał od Parchatki do połowy Bochotnicy. Ale przez Bochotnicę przepływa Kamienna, jeśli więc — rozumował sołtys — nie przeciągnie się wału do samego Kazimierza, wylew Wisły i Kamiennej zatrzyma się w zatoce wału. Wał my chcemy do samego Kazimierza i śluzę na Kamiennej, inaczej interesu nie ma nasza gromada...

— A czego chcą inżynierowie?

— Na razie chcą ochronić Parchatkę i część naszej Bochotnicy, także Wochotnicę, przedmieście Puław, bo stamtąd się ciągną wały.

Wyciągnąłem gazetę, ale sołtys nerwowo zatrzepotał rękami. — Wiem, wiem, dzisiaj mamy zebranie, ale jak plan jest, to my chcemy do Kazimierza.

Z tym zostałem.

✻

Po raz drugi Bochotnica wypłynęła w rozmowie ze starym rybakiem, Wojtalikiem. Od brzegu odbijały pierwsze łodzie, osnute srebrzystą koronką sieci. Pobiegłem w dół i po drodze natknąłem się na Wojtalika, niósł sieci, na jego plecach przygarbionych olbrzymi kosz kołysał się jak łódka.

Kosz przetransportowałem na moje plecy i tak się zaczęła nasza rozmowa.

— Rybaków w Kazimierzu coraz mniej. Młodzi, he, he, pomknęli na morze, a wielu poszło też do miast uczyć się i pracować. Ale Kazimierz bez rybaków? Co było to było? Powiadają, że spółdzielnia „Sandacz" ma pono werbować młodych i kształcić na rybaków. To mi się podoba. Tylko z naszą Wisłą gorzej, z każdym rokiem mniej ryb niesie, wszystko przez te mielizny. Trzeba wyjeżdżać aże 7 km za Puławy w dół rzeki. Jak na wielkie połowy a są roki, że całego terminu dwa miesiące.

Nie słyszał jeszcze Wojtalik o Pięcioletnim Planie i regulacji Wisły, ale kiedym plan opowiedział, bo „czytania pochwycić nie może", stary rybak wpatrzył się w rzekę, aż pod Janowiec na drugim brzegu.

— Tysiąctonowe barki tu pójdą? To mi się podoba. Wisła będzie głęboka, ryba pociągnie. A pewnie też hodowlę zaprowadzą!?

Nie wiem dlaczego, zwierzyłem się Wojtalikowi z rozmowy z sołtysem bochotnickim. Jak wyrozumieć to uparte: my chcemy wał do Kazimierza?

Stary rybak popykał fajeczkę i tak mi odpowiedział.

— Daleko stąd pod Annopolem jest wieś Sieciechów. Teraz tam spółdzielnia produkcyjna. W 49 r. postanowiły chłopy skończyć z wylewami Wisły. Mądrze postanowiły. Zaprosiła gromada cały powiat kraśnicki do pomocy, 17 gmin. I udało się. Bo też robota była ponad siły samego Sięciechowa. Wisła wyżarła taki lej, że w tę gardziel trzeba było wsypać 62 tysiące metrów ziemi. Przyjeżdżali chłopi z drugiego końca powiatu. Tysiące ludzi i tysiące koni. Wykończyli do zimy. Ale w tej robocie zobaczyli drugą, jeszcze większą, nie na 2 a na 8 km. Taki wał uchroniłby 1200 ha najżyźniejszej ziemi. I w 50 r. wyciągnęli te 8 km. Usypali nie 60 a 300 tysięcy m ziemi. Według planów miał ci ten wał budowany być dopiero za trzy lata i stanąć w 56 r. To mi się podoba!

— A co myślicie o Bochotnicy?

— Chcą wału do Kazimierza? Opowiedzcie im o Sieciechowie!

✻

Znów rozległy widok, choć pogoda się psuje. Lepsza widoczność po stronie Kazimierza, gorsza na Wiśle. A będzie — myślę — jeszcze gorsza. W dole na rynku malują pośpiesznie beczki i ustawiają w szeregi, suche ładują na samochody. Od rzeki zabrzmiała syrena okrętowa.

Trzy dni temu nie pojąłbym znaczenia sygnału, teraz wiedziałem — statek osiadł na mieliźnie.

Pognałem w dół. Minąłem malarza, mocującego się z płótnem na wietrze, naiwny czekał na słońce.

— Czy nie słyszy pan wśród tych drzew nawoływania giermków i sokolników?

Stanąłem zdumiony. — Słyszę, proszę pana, głos syreny okrętowej!

Pod basztą omotał mnie silny wiatr i pokłoniłem się mimo woli ruinom Zamku i Wiśle, którą zasnuwała powoli mgła. Ale mgłę przebijał raz po raz dźwięk syreny.

Na dole minąłem inżyniera-architekta, mojego z hotelu sąsiada.

— 60000 metrów sześciennych!

— Co?

— Chciał pan wiedzieć... Od 47 r. wykonaliśmy 60 tys. m. Odrestaurujemy wszystkie zabytki...

Chciałem wiedzieć, ale teraz Wisła dawała sygnały. Biegłem. Koło śpichlerza, leżącego najbliżej rzeki, robotnicy ładowali pośpiesznie na platformy wiklinowe obręcze i kosze. Samochody z trudem ryły muliste wybrzeże, usiłując wedrzeć się na gładką szosę.

— Do licha, co się pan gapisz! — krzyknął ktoś na mnie. Podparłem ramieniem krawędź platformy, obok dwóch robotników podkładało belki pod tylne koła, wibrowały w miejscu, pryskając nam w twarz mulistą cieczą.

— To ci robota! Jednego transportu jeszcześmy nie odesłali, a chłopi wiozą już nowy wyrób.

Podniosłem głowę. Robotnik patrzył na Wisłę. Zza mgły, od strony Janowca podpływały do brzegu chłopskie łodzie, spiętrzone koszami, W dali za mgłą wyła syrena.

— Poczekaj! — zawołałem na głos — poczekaj! Przestaniesz niedługo ryczeć na mieliznach!

Nie będzie mielizn, nie będzie powodzi, będą ryby, będą elektrownie i zapory, będą barki tysiąc tonowe, będą okręty...

W tej chwili byłem starym Borowcem, latarnikiem wiślanym, byłem Pietrasem, „wodnikiem" rzecznym, byłem majstrem kamieniołomu, Doraczyńskim, byłem rybakiem Wojtalikiem. Byłem — co tu gadać — człowiekiem powiatu puławskiego!

✻

W hotelu zastałem depeszę z redakcji — wracać!

Zbigniew Zalewski

JAN KOPROWSKI

BALLADA O LENINIE

I.

W Symbirsku wiosna. Zieleni się listowie.
Nurt Wołgi leniwy i senny.
Przyjacielu z tamtych lat —
opowiedz
o życiu nienadaremnym.

Brzegami w górę Wołgi — holownicy
obdarci, nędzni, bosi.
Ciągną statki ładowne. Milczą.
Słowa u nich już nie uprosisz.

Na ich plecy spalone w słońcu
sypią się carskie batogi.
Szumi Wołga. Głodno. Gorąco.
Ech, rzucić się w głębiny Wołgi...

II.

Posypały się lata młodości.
Potoczyły się fale Wołgi.
Iljiczowi nikt nie mościł
ciernistej drogi.

W kieszeni wytartej jesionki
plik broszur i gazet.
W połach wiatr się ostry błąkał
jak w rozwiniętym sztandarze.

Otwierały się dalekie krajobrazy,
wiatr się szumiąc wśród drzew wałęsał.
I wszędzie i zawsze razem:
słowa Marksa, słowa Engelsa.

III.

Ludu roboczy! Proletariusze!
Do walki pod wodzą Lenina!
Stary ład łamiąc i krusząc
rewolucja skrzydła rozpina.

Groźnie Wołga bije w brzegi
bryzgiem białej kipiącej piany.
Patrzcie żywi, wstańcie polegli —
Rosja miażdży krwawych tyranów.

Wstaje słońce jasne nad Moskwą,
nad Syberią, Wołgą, Symbirskiem
Sterujemy w przyszłość — prosto
niepodległe ludy rosyjskie.

A Lenin uśmiechnięty, prosty
z plikiem gazet w szarej jesionce,
idzie ulicami Moskwy
przed siebie — w słońce!

ZOFIA KORNACKA

KOBIETA W KOŁCHOZIE

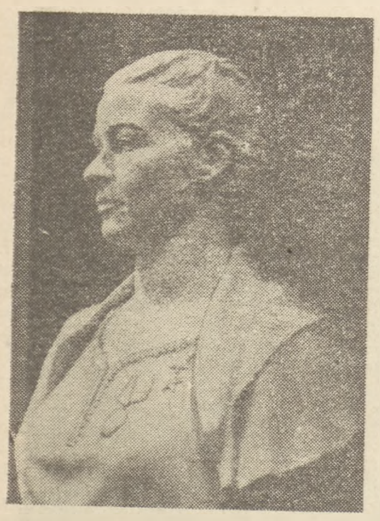

Rzeź. Z. Azgur

DZISIAJ, kiedy to piszę, mamy już w Felicjanowie spółdzielnię produkcyjną. Nie było jej jeszcze, gdy wyjeżdżałam do Związku Radzieckiego.

O spółdzielni decydowali wszyscy, ale przede wszystkim — kobiety. Trzeba znać Felicjanów, żeby wiedzieć, dlaczego tak się stało.

Historia mojego życia jest podobna do życia sąsiadów. Pochodzę z Długiego, moi rodzice mieli tam 6 hektarów. Na wysiedleniu w czasie okupacji poznałam męża, który był szewcem na wsi pod Brzezinami. Braliśmy ślub w 1941 roku. Po wojnie nie było co liczyć na gospodarkę ojcowską — pozostali tam moi bracia. Wywianowało nas państwo, dostaliśmy 4,5 hektara ziemi z zabudowaniami. Inni mieszkańcy Felicjanowa to także młode małżeństwa. A dzisiaj, w osiem lat po wojnie, w każdym domu kręci się po kilkoro drobnych dzieci. Ja sama mam troje: Marysię, Krysię i Henia.

Wiadomo, że kobieta z kilkorgiem dzieci, to urwanie głowy. A najgorsze, że już czasu nie starcza na gospodarstwo, coraz częściej, a to inwentarz głodny, a to warzywa nieopielone.

Nieraz wieczorami zastanawiałam się co robić, by ulżyć sobie w pracy. Rozmawiałam o tym z mężem, ze znajomymi. W rozmowie z mężem często padało słowo: spółdzielnia, ale ze znajomymi mówiło się tylko, że przydałyby się maszyny, przedszkole, piekarnia.

W maju 1952 roku przyszła wiadomość, że ktoś z gromady pojedzie do Związku Radzieckiego. Nie pomyślałam nawet o sobie, a i mąż nie mógłby pojechać, bo właśnie organizował grupę kośną na wyjazd po siano w Szczecińskie.

Tymczasem na zebraniu mnie wybrano na delegatkę z Felicjanowa. Nie wymawiałam się, bo bardzo chciałam pojechać, ale co z dziećmi?

Zaprosiłam do siebie siostrę męża z Łodzi, żeby zajęła się domem, a sama postanowiłam na wycieczce jak najwięcej uwagi poświęcić życiu kobiety w ZSRR.

My oboje z mężem to tylko pragnęli, żeby już jak najprędzej powstała spółdzielnia. Z nami było kilkoro, ale reszta jeszcze słyszeć nie chciała o wspólnocie. Hamowały ich rodziny z sąsiednich wsi, że po co się śpieszyć, lepiej jeszcze trochę popatrzeć.

Trzeba było ludzi przekonać. Mąż wpadł na pomysł, żeby jadąc po siano odwiedzić spółdzielnię produkcyjną w Maciejowie. Mieszka tam rodzina Kolasa z naszej wsi, toteż wszyscy chętnie ich zobaczą, a przy sposobności zetkną się również ze spółdzielnią.

Ale główne argumenty miałam ja przywieźć, po zwiedzeniu kołchozów Związku Radzieckiego. I ja postanowiłam przemówić do kobiet, bo tu o nie chodziło najbardziej.

Obserwowałam więc w Związku Radzieckim głównie życie kobiety-chłopki, po to przecież przyjechałam. Na każdym kroku porównywałam to, co widziałam, z moją wsią.

Wiadomo, że kobieta wiejska ma na głowie trzy rzeczy: dom, gospodarstwo i dzieci.

A więc — dom. Ugotować, sprzątnąć, uprać, pocerować ubranie, uszyć dla dzieci i męża. Ile ja nastoję się nad blachą przy śniadaniu, obiedzie, kolacji. Drzewa muszę narąbać sama, bo mąż nie ma czasu. A ile wody trzeba się nanosić ze studni przy praniu! Kiedy piorę, nie ma już mowy, żebym na godzinę wyszła w pole. Ileż mi czasu schodzi na ścibanie igłą dziecinnych koszulek, mężowych skarpet? Wszystko musi być na czas zrobione, bo nie mogę pozwolić, żeby mi rodzina świeciła dziurami.

A w kołchozie imienia Budiennego? W ładnych, jednorodzinnych domkach wystarczy odkręcić kurek i płynie woda. Kuchnie są elektryczne, kilkufajerkowe, tak samo żelazka, a nawet odkurzacze. Prąd otrzymują kołchoźnicy z własnej elektrowni.

Prócz tego jest we wsi stołówka. Obiady bardzo smaczne w okresie najgorętszych robót, na przykład we żniwa kobieta nie musi już gotować w domu.

Zdumiała mnie pralnia kołchozowa. Maszyny wypiorą tam ubranie i wysuszą w elektrycznej suszarni w ciągu paru godzin. My, uczestnicy wycieczki, oddaliśmy tam w południe bieliznę i sukienki, a wieczorem otrzymaliśmy wszystko czyste i wyprasowane. Nikt już potem nie dziwił się, że kołchoźnice są ustrojone, jak ludzie w mieście.

Kołchoz posiada także pracownię krawiecką, gdzie każdy może uszyć, co mu się podoba. Poza tym w każdym domu widziałam maszynę do szycia. Chleba także nikt nie piecze; sklepy są na miejscu, spożywcze i z artykułami przemysłowymi, łatwo więc jest zaopatrzyć się we wszystko. Te ułatwienia oszczędzają czas na gospodarstwo przyzagrodowe i zespołowe.

Kołchoz jest olbrzymi, liczy aż 10.000 ha. Ale większość pracy wykonują maszyny, człowiek jest tylko ich stróżem. Kobieta ani w połowie tak się nie umęczy jak u nas.

Rzeź. F. Abdurachmanow

W Felicjanowie jak przyjdzie pielonka, żniwa czy wykopki, to nie wiadomo za co się wpierw brać. I wszystko patrzy na gospodynię. Nakłęczy się ona przy pieleniu, nawiąże snopków, nakopie ziemniaków, aż krzyż boli.

Wszystko ręcznie. A jeszcze w oborze trzeba oporządzić i świniom uszykować, utłuc, usiec, wydoić krowy, gnój wyrzucić — wszystko własnymi rękami.

A w kołchozie im. Budiennego? Za pomocą elektryczności jedna dojarka wydoi 13 krów.

W specjalnym pomieszczeniu potną, usieką, uparują paszę elektryczne maszyny. Woda do każdego stoiska podpływa rurami a krowa pije z automatycznego poidła.

W polu także najcięższe roboty wykonują maszyny. Jedna brygada polowa, złożona z 38 ludzi, uprawia 1156 hektarów, mając do pomocy brygadę traktorową: 9 traktorów i 3 kombajny. Jeden traktor ciągnie 12 pługów.

A tymczasem w Felicjanowie mamy niecałe 300 ha ziemi, rodzin sześćdziesiąt, a i to ciężko dać sobie radę.

Nic też dziwnego, że kobieta w kołchozie może wykonać tyle samo dniówek, co mężczyzna, może sama utrzymać rodzinę. Sama widziałam, jak jedna wdowa z kilkorgiem dzieci postawiła sobie dom z własnych zarobków.

Dalej — kobieta ciężarna jest zwolniona z pracy na miesiąc przed porodem i miesiąc po porodzie. Przez ten czas ma zapisywane dniówki tak, jakby pracowała. Gdy się źle czuje, to odwożą ją do izby porodowej, gdzie ma już obsługę i pielęgnację.

Kołchoz im. Budiennego posiada dwa domy porodowe i jeden szpital. Jeśli kto jest chory, to lekarza i szpital otrzymuje bezpłatnie.

W kołchozie są przedszkola i żłobki dla małych dzieci, a osobno dla niemowląt. W przedszkolu na każde osiem dzieci wypada jedna opiekunka, prócz tego jest kierowniczka i kucharka. Dzieci dostają jeść cztery razy dziennie, a owoce i bułeczki, kiedy chcą. Każde dziecko ma swoje małe łóżeczko czyściutko zasłane, aż miło popatrzeć. W drugim pokoiku niski stoi stół i krzesełeczka takie jak foteliki. Widziałam pełną wannę zabawek, bo akurat opiekunka je myła. Były tam różne wiadereczka, taczki, piłeczki, zwierzątka i lalki.

W żłobku dla niemowląt jest stała lekarka, a jedna pielęgniarka obsługuje 5 dzieci. Bardzo mi się podobała taka opieka nad dzieckiem. Matka może być w pracy spokojna o swoje pociechy.

Po powrocie do kraju opowiedziałam o tym wszystkim naszym kobietom. Zamieniłam się w działaczkę społeczną — jak przedtem rzadko kiedy otwierałam usta na zebraniu, to teraz potrafiłam wygłosić przemówienie, poprowadzić dyskusję.

Dużo pomógł również wyjazd mojego męża na sianokosy. Chłopi zobaczyli na własne oczy, że w Maciejowie na ziemi nie lepszej niż u nas spółdzielnia uprawia buraki cukrowe i pięknie się udają dzięki maszynowej uprawie i głębokiej orce.

W Felicjanowie zawsze się mówiło: „Tu się buraki nie urodzą". A zależało na tym kobietom, bo buraki — to przecież cukier dla dzieci, na przetwory.

Ogromadzało się koło nas coraz więcej chętnych.

W lipcu 1952 roku podpisaliśmy statut. Podorywki na naszych polach wykonał już traktor z Państwowego Ośrodka Maszynowego w Kołuszkach.

Kiedy patrzyłam na ten traktor, zrobiło mi się jakoś radośniej na duszy. Za traktorem przyjdzie w przyszłości snopowiązałka, kopaczka, a potem — kombajn. Wyobrażałam sobie nasze pola takimi, jak te, które widziałam w kołchozach, zboża o pełnych ciężkich kłosach, buraki cukrowe.

Każdy wie, że matka życzy swoim dzieciom jak najlepiej. Otóż ja pragnę, aby moje dwie córeczki doczekały takiego życia, jakie mają kobiety w kołchozach radzieckich.

Zofia Kornacka
Felicjanów, pow. Brzeziny

KLEMENS KAMIŃSKI

NA FERMIE HODOWLANEJ

POSIADAM 8,74 ha ziemi. Działkę otrzymałem z reformy rolnej. Przed wojną byłem robotnikiem w tutejszym majątku. Pamiętam taki okres, kiedy to przez dwa i pół roku nie wypłacono ani grosza i nie wydano deputatów. Ludzie musieli kraść nocami z pola, żeby nie umrzeć z głodu.

Dziewięciu z mojej gromady pracowało we dworze i wszyscy po wojnie dostali ziemię od 5 — 6 ha. Wszystkim się nieźle powodzi, wszyscy dobrze się wywiązują z obowiązków wobec państwa.

Z trzech stron otaczają naszą gromadę spółdzielnie produkcyjne. W Łęgowie istnieje już dwa lata wspólna gospodarka. Ludzie tam mają pieniądze, jedzą jak się patrzy i bez kłopotów sobie żyją. Rozmawiałem z nimi, to mi powiedzieli, że z siekierą by wygonili takiego, kto by im kazał ze spółdzielni wystąpić. Druga spółdzielnia w Rgielsku wywiązała się w 1951 r. — w 180 proc. z planowego skupu zboża. Jak długo pamiętam, nigdy w Rgielsku tyle zboża nie sprzedawano. Czy to znaczy, że ludzie tam od ust sobie odjęli, żeby dać państwu? Nic podobnego, mają wszyscy w komorach więcej ziarna niż kiedyś. Wyprodukowali tylko więcej, bo lepsza była uprawa. Tak samo jest i w trzeciej spółdzielni w Siennie. Tam już we wrześniu 1952 r. — plan odstawy był wykonany w 110 proc.

Tak więc wszystko zachęca do tego, żeby u nas założyć spółdzielnię. Przeszkadzają nam jednak w naszych planach kułacy. Bo na 54 gospodarstwa mamy 4 po 30 hektarów, a 13 — po 20 ha.

Kułacy rozsiewają rozmaite wrogie plotki, szerzą niezgodę między ludźmi, buntują jednych przeciw drugim, aby nie dopuścić do zjednoczenia produkcji.

Kiedy jechałem do Związku Radzieckiego, to bogacze mówili, że mnie zatłuką, jeśli będę dobrze gadał o kołchozach. Wtedy powiedziałem, że nie będę gadał ani dobrze ani źle, tylko prawdę.

A teraz, co mnie najbardziej interesowało w kołchozach, mnie i moich sąsiadów? — Hodowla bydła. W naszej wsi mamy dobrze rozwiniętą hodowlę bydła. Ja sam, choć zaczynałem gospodarować z pustymi rękami, dzisiaj mam 5 krów rasy nizinnej czarno-białej i 1 jałówkę. Nie ma u nas gospodarstwa, gdzie by było mniej niż 2 krowy. I mleczność jest wysoka, bo 2500 do 3500 litrów, a procent tłuszczu — 3.

Wiem, że takie wsie, jak moja, możnaby na palcach w Polsce policzyć, a i w Poznańskiem jest ich niewiele. My tutaj postawiliśmy na hodowlę, bo mamy teraz ładne łąki i dostatek paszy z okopowizn.

Myślałem więc, że to co zobaczę w Związku Radzieckim będzie podobne do naszej hodowli, że owszem, może zaimponować wielu chłopom z innych stron Polski, ale nie mnie. A tymczasem?...

Pierwsze nasze spotkanie z oborą kołchozową było bardzo śmieszne. Zobaczyliśmy z samochodu długi biało tynkowany budynek, obok którego kręciły się kobiety w białych fartuchach i białych opaskach na głowie. Ktoś głośno powiedział, co wszyscy pomyśleli: „szpital". Bo muszę jeszcze dodać, że budynek był otoczony drucianą siatką i naokoło rosły drzewa.

Dopiero żeśmy się uśmieli, gdy przyszło nam oglądać rogatych „pacjentów". A dziewczęta biało ubrane to były po prostu dojarki. Niektórzy z naszej grupy mieli wprawdzie wątpliwości, czy to czasem nie na nasze przyjęcie dojarki tak się ustroiły. Dopiero kiedy zobaczyli w lodowni na półce kilkadziesiąt takich czystych fartuchów na zmianę i odwiedzili kołchozową pralnię mechaniczną (fartuch nosi dojarka 2 dni i oddaje do prania) — uwierzyli, że nie było tu żadnej bujdy.

To wszystko działo się w kołchozie im. Lenina w rejonie Kamieńca Podolskiego. Kołchoz ten powstał w 1923 r. Posiada 3370 ha ziemi i pracuje w nim 920 rodzin. Kołchoz nastawił się na hodowlę bydła i uprawę buraka cukrowego.

Krowy w kołchozie — to nie obrażając naszych kobiet — czerwone białogłowy z szerokimi poziomymi rogami. Przeciętna wydajność mleka od sztuki wynosi 5000 litrów. Dorosłe krowy ważą do 900 kg.

Obora w kołchozie jest murowana, długa, po bokach znajdują się stoiska krów, a środkiem jest przejście. Obornik wyrzuca się codziennie tak, że w oborze jest czysto jak w domu. Przy każdym stoisku krowy jest automatyczne poidło — krowa naciska tylko pyskiem odpowiednią klapę, a czysta woda podpływa gotowa do picia.

Nad każdą krową wisi tablica, na której kredą zapisuje się każdy udój, datę wycielenia i inne podobne dane.

Bydło jałowe przebywa przez całe lato na pastwisku. Tylko pastwiska są tam inne niż u nas. Ponieważ w kołchozie zaprowadzony jest płodozmian trawopolny Wiliamsa, więc część gruntów jest obsiana wieloletnimi trawami i motylkowymi. Krowy mają tutaj obfitość paszy, a nie tak jak u nas często widać: kilka suchych trawek, poza tym osty lub turzyce.

Muszę dodać, że jeszcze piękniejszą fermę bydła widziałem w sowchozie im. Dymitrowa w tym samym rejonie. Jest to zarodowa obora, tym razem — rasy czarne białogłowy. Tam przeciętna wydajność mleka wynosi 5800 litrów z zawartością tłuszczu — 4,3 proc. Zapisałem sobie, ile wynosi roczny udój od rekordzistek sowchozu.

Krowa po 6-tym wycieleniu daje — 7124 l. mleka rocznie.

Krowa po 4-tym wycieleniu daje — 6765 l. mleka rocznie.

Krowa po 3-cim wycieleniu daje — 5987 l. mleka rocznie.

Krowa po 2-gim wycieleniu daje — 5671 l. mleka rocznie.

Krowa po 1-szym wycieleniu daje — 5115 l. mleka rocznie.

No, i tu już zmiękłem zupełnie, gdzie mnie tam do takich krów!

Na fermie hodowlanej pracują przeważnie kobiety. Praca nie jest ciężka, gdyż w dużym stopniu wyręczają je maszyny. Dojenie odbywa się na przykład przy pomocy aparatów elektrycznych. Pierwszy raz w życiu widziałem taki aparat.

Tak samo zmechanizowana jest praca przy przygotowaniu pasz. Widziałem np. maszynę do siekania okopowych i parnik. Mimo, że sytuacja, którą tu opisałem jest bardzo dobra, kołchoz nie poprzestaje na dotychczasowych osiągnięciach. Kołchoźnicy postawili sobie na najbliższe lata takie zadania: po pierwsze otrzymywać od 100 matek 100 sztuk przychówku; po drugie: przeprowadzić selekcję stada; po trzecie: ulepszyć utrzymanie i żywienie bydła.

Zadanie wychowania całego przychówka — to przede wszystkim zlikwidowanie jałowości krów i padania cieląt. O możliwości osiągnięcia tego świadczy fakt, że są w kołchozie hodowczynie cieląt, które nie miały jeszcze ani jednego wypadku zmarnowania się cielęcia, chociaż wychowały ich już po kilkaset.

Napisałem o tym wszystkim dlatego, że chciałem pokazać z jak wielką odpowiedzialnością podchodzą pracownicy fermy hodowlanej do swoich zadań. Są oni wysokowykwalifikowanymi fachowcami i żadne osiągnięcie nie jest dla nich zbyt trudne.

Wiele się napatrzyłem i nauczyłem, a przede wszystkim jednego: tak wysoki poziom hodowli jest możliwy tylko w warunkach wspólnej gospodarki. Wtedy bowiem można osiągnąć wysoką specjalizację ludzi, zajmujących się hodowlą. Wtedy również opłaca się wprowadzić urządzenia i maszyny, które ułatwiają pracę i zwiększają jej wydajność.

Klemens Kamiński
Ochodza, pow. Wągrowiec

JULIANNA LEŚNIAKOWA

KONTRAKTACJA

Powyżej zamieszczone wypowiedzi stanowią fragment broszury, jaką przygotowuje „Książka i Wiedza" z licznych wypowiedzi chłopów, którzy w tym roku odbyli wycieczkę do Związku Radzieckiego.

OD śmierci męża w 1947 roku jestem głową gospodarstwa. Mam 10 hektarów ziemi, dwa konie, trzy krowy i dwie jałówki. Kontraktuję buraki cukrowe, kapustę, jęczmień, ogórki, rzepak. Poza tym pracuję społecznie, jestem członkinią Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Ligi Kobiet.

Kiedy gromada wybrała mnie na delegatkę do Związku Radzieckiego, w pierwszej chwili przestraszyłam się. Co będzie z gospodarstwem? Pomijając już wszystkie codzienne prace, czekały przecież na przecinkę i pielenie dwie morgi buraków cukrowych.

Pojechałam do Wojewódzkiego Komitetu Wykonawczego ZSL poradzić się, co robić. A w Komitecie pracuje jako instruktor mój starszy syn. Więc uradziliśmy wspólnie, że syn dostanie urlop i zajmie się gospodarstwem a ja mogę spokojnie jechać.

W pierwszych dniach podróży śniły mi się co prawda parę razy Sulicice i zawsze kłopot: a to kura zdechła, a to prosiaczki nie nakarmione. Stale myślałam, jak tam sobie beze mnie dadzą radę. Ale potem pośród rozmaitych wrażeń przestałam się martwić o gospodarstwo.

Nie był to mój pierwszy wyjazd za granicę. W 1922 roku, jako 19-letnia dziewczyna, uciekłam ze służby u bogaczy w Rzeszowskiem do Francji. Werbowano wtedy w Polsce służące do zamożnych domów francuskich. Jechałam z ciekawością, że poznam kawał świata. A poznałam tylko ciężką harówkę od rana do późnej nocy. Pracowałam jako pomocnica domowa, praczka, kucharka, pielęgniarka.

Wróciłam do kraju po 15-tu latach — z mężem. Mąż był emigrantem ze słynnego Łapanowa w pow. bocheńskim. Przez niego to zetknęłam się z ruchem ludowym.

Z oszczędzonych pieniędzy kupiliśmy gospodarstwo w Sulicicach z parcelacji Poniatowskiego. Prócz nas przybyły tu jeszcze 23 podobne rodziny — kilku Kaszubów, a reszta z całej Polski. Tak więc pierwszy raz wyjechałam za granicę z biedy i upokorzenia. Jechałam jak wygnaniec, a wygnał mnie głód i nędza.

Drugi raz jechałam za granicę — do Związku Radzieckiego — po naukę lepszego życia, nie jako nędzarz, ale jako gospodyni.

Dużo sobie zapisałam i dużo zapamiętałam z wycieczki.

Przyjechaliśmy do kołchozu we wsi Pieszkowo nazwanego: Testament Włodzimierza Iljicza. Przewodnikiem naszej grupy w kołchozie był tow. Michajłow, przewodniczący, staruszek, który po wojnie ukończył wyższą szkołę rolniczą.

Kołchoz powstał w 1928 roku przed drugą wojną światową zrzeszał 600 gospodarstw na 7.600 hektarów. Do 1940 roku dorobili się już ludzie bogactwa: 1100 krów, 500 wołów, 150 koni, 300 owiec, 10 tysięcy sztuk drobiu, 8 samochodów ciężarowych.

Cały ten dorobek zmiotła wojna. Kołchoz został doszczętnie zniszczony i rozgrabiony przez hitlerowców. Zdawało się, że nie będzie już więcej na mapie wsi Pieszkowo.

Ale faszyści nie znali człowieka radzieckiego. Kołchoźnicy wrócili do zgliszcz i odłogów, przyprowadzili raptem trzy konie i 5 owiec. Ale przynieśli z sobą niezłomną wolę doprowadzenia gospodarstwa do kwitnącego stanu. I co powiecie? Wiosną 1952 roku można już było naliczyć w kołchozie 1000 sztuk rogacizny, 170 koni, 1500 owiec, 900 świń, 100 uli, 12 samochodów.

Mnie jednak najbardziej utkwiły w pamięci rośliny przemysłowe uprawne. Sama jestem zapaloną plantatorką, wiem dobrze ile ważą one w dochodowości gospodarstwa, znam też plantatorów z sąsiedztwa. Ale takich plantacji jak w kołchozie Pieszkowo u nas nie spotkasz nigdzie. Powiem najpierw cyframi. Kołchoz zasiał w tym roku 8 ha rącznika, 20 ha roślin oleistych, 200 ha słonecznika, 100 ha kukurydzy, 422 ha bawełny. Piękne pola, dorodne i jednolite. Staniesz na jednym skraju—drugiego końca okiem nie dojrzysz. Aż żal mnie brał, gdym wspominała nasze paroarowe poletka. I ile się na takich skrawkach musimy namordować! Tu wszędzie robią maszyny, bo pola wielkie i ciągłe. Jedna brygada traktorowa z polową potrafi obrobić 1000 — 1200 ha a przecież to są rośliny przemysłowe, bardzo pracochłonne.

Dzięki uprawie roślin przemysłowych ogromnie wzrósł dochód kołchozu. W 1951 r. uzyskano dwa miliony 500 tys. rubli dochodu. Na 1952 r. przewiduje się trzy miliony 300 tysięcy rubli.

Pierwszy raz w życiu widziałam bawełnę i rącznik. Ciekawa byłam jakie są plony tych roślin. Dowiedziałam się że bawełny otrzymują kołchoźnicy 32 q z ha, rącznika 22 p z ha z zawartością 48 proc. tłuszczu. Plony innych roślin przemysłowych są również wysokie. Słonecznik daje 38 q z ha, kukurydza 62 q.

W kołchozie pracuje się jednak dalej nad udoskonaleniem tych roślin. Kołchoźnicy starają się wyhodować np. taką roślinę rącznika, żeby liście jej opadały przed zbiorem, a nasiona były w jednej gromadzie. Przez to znacznie można będzie usprawnić zbiór rącznika kombajnem.

W laboratorium kołchozowym przeprowadza się próby nad zawartością tłuszczu w roślinach, nad puchem bawełny. Jeśli kołchoźnicy dostrzegą wśród roślin bardziej wydajne, to nasienie ich zbierają osobno i wysiewają na działkach doświadczalnych. W ten sposób otrzymują nowe odmiany roślin. Uprawą roślin przemysłowych zajmują się kołchoźnicy specjaliści. To stanowi między innymi wyższość gospodarki zespołowej nad indywidualną. Przy podziale pracy każdy może robić to, co najlepiej umie. Ot, u nas w Sulicicach Klewka odstawił w tym roku 800 kg żywca ponad plan. Jemu się darzą świniaki, toteż świetnie by mógł poprowadzić spółdzielczą chlewnię.

Julianna Leśniakowa
Sulicice, pow. morski

JAN STEFANIAK

Moskwo!

Za chlebem, za pracą zjeździłem przed laty pół świata. Widziałem dużo stolic, piękne gmachy, pełne sklepy towarów, ulice wezbrane tłumem. Ale serce chciało pęknąć, gdy w New Yorku goniono, bito, linczowano Murzyna lub gdy spracowane ręce wyciągały się, żebrząc o parę centów. Widziałem, jak dziecko oberwane wchodzi do piekarni i prosi o czerstwy chleb. Jak właściciel piekarni wygania je, a ono wychodzi płacząc z głodu. Na głównej ulicy na schodach przypadła staruszka, drży ze zmęczenia i głodu. Tak wyglądają stolice w krajach kapitalistycznych. Kawę wyrzuca się do morza. Wylewa się miliony litrów mleka. Argentyna pali sterty pszenicy. Dzieci umierają z głodu. Miliony głodnych. Kapitaliści pijani tratują swymi samochodami ludzi i uchodzą bezkarnie. Gdy robotnik upomni się o centa podwyżki — nazwany komunistą dostaje się w ręce policji. Wokół stolic na przedmieściach znajdują się osiedla robotnicze. Tam pójdźcie, a obnaży się wam cała prawda o dobroci, o bogactwie Ameryki. W tych dzielnicach roboczych zobaczycie nagich i głodnych, suchotnych i umierających wołających chleba.

O Moskwo, stolico Republik Rad, jakaś Ty inna!

Na Twych ulicach nie ma głodnych, nie ma żebraków.

Na Twych ulicach widzę staruszków, dzieci i młodych, wesołych, sytych, ubranych.

Moskwo, na Twych ulicach każdy człowiek wie, dokąd idzie, do pracy, po zakupy, na zebrania, na spacer, do teatru... do wolności.

W stolicach krajów kapitalistycznych bezrobotny idzie, a nie wie dokąd. Nie wie, czy dzisiaj przyniesie coś do domu, nie wie nawet, czy sam wróci. Bo spotka się kilkunastu bezrobotnych, a zaraz podsłucha tajniak, zawoła policję, zabiorą do więzienia.

Moskwo, Twe piękne ulice szczycą się czystością, nie widać nawet papierka. Moskwo, Ty masz miliony ludzi, którzy z honorem o Tobie mówią, o piękno i czystość Twą dbają.

Twoje ulice jak place szerokie, przy nich wielkie magazyny, a w nich pełno kupujących i pełno towaru.

Okna wystawowe i reklamy dniem i nocą widnieją dla wszystkich, dla wszystkich mieszkańców.

Życie w Tobie płynie nieprzerwanie czy w dzień czy w nocy, zawsze wesoło, zawsze radośnie.

O Moskwie możnaby napisać tomy książek, chociaż już są.

W Moskwie, gdy trzeba, cały dom przesuną i jeszcze go nadbudują.

A Puszkin, aby lepiej widział Moskwę z jednego miejsca, w inne piękniejsze przeniesiony. Teraz wokół Puszkina piękny zieleniec, fontanny do góry biją, plac mozaiką wyłożony.

Kanał Wołga-Moskwa w kamienne tu objęty ściany. Tylko po niespokojnej wodzie, jakby gotującej się, poznać jaki to przybór dalekich i wielkich rzek.

Moskwo, Twe bogactwo i piękno trudno opisać, bo radość człowieka, który stąpa po Twych ulicach, prześciga myśl. Gdy ona zatrzymuje Twój obraz, Ty wielka i piękna każdego dnia powstajesz budowlą nową, wyższą, piękniejszą.

Stolica Republik Rad, stolica proletariatu świata jest i będzie najpiękniejsza.

Piosenki o Moskwie śpiewa robotnik, kołchoźnik, artysta.

Proletariat świata mówi o Moskwie i oczy ma zwrócone na Ciebie.

Tak może być pięknie w każdej stolicy, ale tylko wtedy, gdy nie będzie wyzysku.

Warszawa też będzie piękna, Praga czy Bukareszt również za rok, dwa, trzy.

Człowiek to wszystko zrobi, ale człowiek musi być wolny, jak w ZSRR, jak u nas, w krajach demokracji ludowej.

Chiny, gdzie był wieczny głód i bezrobocie, dzisiaj się rozwijają i tak będą piękne, jak jest Związek Radziecki.

Wszystkie narody walczą o swoje wyzwolenie i wolność wywalczą wcześniej czy później.

Walki narodów, jak: Italii, Francji, Vietnamu, czy innych o swoją wolność, być muszą skuteczne, bo tego chce naród.

Nierówna zdawała się walka robotnika i chłopa w Rosji. Car przecież był bogiem ziemi, jak mówiono w szkole i cerkwi. Jednak naród zrozumiał, do czego prowadzi go partia Bolszewików i proletariat, obalił jedynowładztwo cara i dziś buduje kraj komunizmu.

Naród Związku Radzieckiego udowodnił, że nie ma bogów na ziemi i władców, jest tylko lud, który może wszystkiego dokonać, do niego należy władza i ziemia.

Kraj rozkwita, buduje swoje giganty. Zaporoże, Dnieprostroj, Komsomolsk, Wołga—Don, buduje KOMUNIZM.

Cały świat dziś mówi: dwa są kraje najbogatsze na świecie — Związek Radziecki i Zjednoczone Stany Ameryki. A przecież carska Rosja była krajem zacofanym, opóźnionym w stosunku do innych krajów i do Ameryki o 200 lat.

Kiedy rósł kapitalizm w Ameryce, Ameryka brała ludzi do pracy ze wszystkich krajów. Za ten rabunek płaciły narody własnym niedorozwojem. Rósł kapitalizm w Ameryce i rosła nędza innych narodów jak w naszym. Dzisiaj w Ameryce zastój. Krzyczą Trumany, że winni temu komuniści Rosji. Komuniści Związku Radzieckiego do nich po nic nie poszli, im nic nie zabrali. Nawet Alaski, która jest ziemią Rosji, komuniści nie odbierają, a car Alaskę oddał Amerykanom za grosze.

Truman i cała klika kapitalistów krzyczy, że w Ameryce robi się źle, ale władzy nie chcą oddać robotnikom i chłopom.

Ameryka biednieje, miliony bezrobotnych, farmerzy rzucają ziemię i idą w nieznanym kierunku. Ziemia amerykańska robi się pustynią nieurodzajną.

Ziemia Związku Radzieckiego co roku wydaje lepsze plony, sadzi się setki tysięcy hektarów sadu, pasów leśnych, buduje największe na świecie kanały.

Amerykanin biały staje się dzikim człowiekiem, analfabetą, bandytą, kryminalistą, doprowadza go do tego kultura amerykańskiej burżuazji, ludobójczy faszyzm.

W Związku Radzieckim rośnie nowy człowiek, rośnie wysoka kultura, inżynier-agronom, biolog-mechanik.

Truman i Eisenhower dolarów nie rozwożą po innych krajach, nic nikomu nie dają, a odwrotnie, chcą wyciągnąć ostatnie grosze, skąd się da. Kapitaliści Ameryki chcą zarobić na krwi narodów im podległych.

Związek Radziecki wyzwolił Polskę, Rumunię, Czechy i inne kraje i za to nic nie żąda.

Związek Radziecki, co więcej, dał nam pomoc w żywności i daje pomoc w sprzęcie, w budowie naszych fabryk.

A czy chce za to od nas złamanego grosza zysku? Czy czerwonoarmiści, którzy polegli na ziemi polskiej, mogą być czymś wynagrodzeni? Czy życie ludzkie ma cenę w pieniądzach?

Ilu kapitalistów zginęło za wyzwolenie Polski? Rockefellerów i podobnych? Niechże mi kto wskaże choćby jednego.

A ziemia polska jest pokryta mogiłami synów narodu radzieckiego.

Patriotyzm naszych kapitalistów naszej burżuazji pokazał wrzesień 1939 r.

Te niedobitki, psy na łańcuchach dolarowych, szczekają dzisiaj przez radio. O co im chodzi? O ich majątki, fabryki — to ich boli.

Niech pluje na nich robotnik angielski i amerykański, jak pluli przed 35 laty na białogwardzistów.

Bo patriotyzm robotnika i chłopa, a przede wszystkim radzieckiego, to jest patriotyzm!

Kapitaliści, chcecie czy nie chcecie wcześniej czy później, nie waszą będzie władza!

Wy po ludzku nie umiecie żyć i proletariat swego gniewu już nie odwoła!

Władza przejdzie w ręce proletariatu i chłopstwa, a wtedy zapanuje pokój wieczysty.

Kolor skóry czy narodowość nie będą czyniły różnicy, wszystkie narody w braterskiej będą przyjaźni. Bo jeden sztandar czerwony będzie powiewał wszędzie!

Niech żyje wielki naród radziecki, który 35 lat temu odkrył przed światem, jego pierwszą w dziejach ludzką przyszłość!

Niech żyje wielki naród radziecki, który 35 lat toruje drogę dla ludzi pracy całego świata, dla wszystkich narodów.

Jan Stefaniak
POM — Okręg Leszno

STANISŁAW CIEŚLAK

„...DO CORAZ LEPSZEGO ŻYCIA..."

POKOLENIE nasze znalazło w sobie odwagę, aby podjąć dzieło trudne, lecz niezbędne: odrobienie w ciągu niewielu lat ogromnego zacofania naszego kraju, które jest jednym z głównych źródeł przeżywanych przez nas trudności — głosi program Frontu Narodowego.

Zacofanie to nie zostało przez nas wymyślone. Jest to wiekowa gorzka spuścizna przekazana nam przez całą historię naszego kraju, którą boleśnie odczuwali od dawna najlepsi synowie naszego narodu.

Gdy Stanisław Staszic inicjował pierwsze w Polsce planowe poszukiwania geologiczne („O ziemiorództwie Karpatów", Warszawa, 1815), gdy jako dyrektor Wydziału Przemysłu i Kunsztów Królestwa Kongresowego zakładał pierwsze nowoczesne kopalnie, huty, odlewnie żelaza i metali kolorowych, gdy powoływał do życia Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, o pierwszych zalążkach zespołowej gospodarki na roli, gdy organizował pierwszą w Polsce wyższą szkołę techniczną w Kielcach — to była swoista próba przezwyciężenia tego zacofania naszego kraju.

Trzy pokolenia budowniczych kapitalizmu w Polsce zdołały wprawdzie w latach 1750—1850 podwoić produkcję przemysłową naszego kraju, lecz nie zdołały przezwyciężyć techniczno - ekonomicznego jego zacofania, nie były zdolne nawet do postawienia tego problemu w sposób zadawalający.

A wkrótce później w okresie gnijącego już kapitalizmu, klasy posiadające Polski z obojętnością patrzyły na postępującą szybko degradację naszego kraju. W roku 1930 ziemia polska rodziła już z 1 ha — żywności, surowców rolniczych i mineralnych *dwa razy mniej* niż ziemia francuska, *dwa i pół razy mniej* niż ziemia niemiecka, *trzy razy mniej* niż ziemia belgijska. Na głowę ludności wydobywano w Polsce wszelkiego rodzaju surowców *dwa razy mniej* niż w Anglii, *trzy razy mniej* niż w Danii, *sześć razy mniej* niż w USA. Poziom zaś produkcji przemysłowej w przeliczeniu na jednego mieszkańca kraju był w Polsce *dwa razy niższy* niż we Włoszech, *pięć razy niższy* niż we Francji, *dziesięć razy niższy* niż w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w tych Stanach Zjednoczonych, które jeszcze w r. 1750 liczyły dwa razy mniej ludności niż Polska, a w r. 1850 — już dwa razy więcej, a w rroku 1930 — już sześć razy więcej ludności niż Polska.

A przecież ziemia polska nie była i nie jest gorsza od innych, a naród polski nie był i nie jest mniej zamiłowany w pracy, niż inne narody. Ale byliśmy spychani na coraz gorsze miejsce w świecie przez działanie nieubłaganych, wilczych praw rozwoju kapitalizmu.

Trzeba dodać, że niemało było przy tym kapitalistów i obszarników polskich, którzy z zadowoleniem, źle ukrywanym, patrzyli na to staczanie się Polski na 24 miejsce w świecie (pod względem surowcowej wydajności ziemi), a 51-sze miejsce w świecie (pod względem jej wartości na głowę ludności), gdyż możliwości wyzysku mas pracujących w kraju tak zacofanym były o wiele przecież szersze niż w w kraju rozwiniętym gospodarczo...

A czyż mogło być inaczej w czasach, gdy 5 kapitalistycznych państw Europy Zachodniej, które liczyły razem zaledwie 6 proc. ludności świata, a zajmowały tylko 1 proc. jego powierzchni jeszcze w r. 1930 — a więc już w okresie schyłku swej potęgi i wzrastającej zależności od USA — zagrabiły dla siebie *połowę wszystkich surowców* wytwarzanych przez *wszystkie kontynenty* świata i posiadały monopol na produkcję i dostawę *dwóch trzecich wszystkich wyrobów przemysłowych* wywożonych na zamorskie rynki?

Czyż mogło być inaczej w epoce degradacji nie tylko poszczególnych narodów, ale i całych kontynentów, gdy Azja — 20 proc. powierzchni ziemi i 53 proc. jej ludności, Azja — kontynent największych możliwości produkcyjnych (połowa światowych zasobów ropy, węgla, żelaza, metali kolorowych itp.) wytwarzała tylko 14 proc. ogólnej produkcji surowcowej świata, z czego zaledwie tylko połowa pozostawała w Azji na potrzeby *miliarda* jej mieszkańców, a połowę wywożono do centrum wyzysku ekonomicznego i politycznego świata, do Europy Zachodniej?

Wiekowe zacofanie naszego kraju i innych krajów i całych wreszcie kontynentów można zlikwidować jedynie na bazie skutecznego budownictwa socjalistycznego. „A zlikwidować je — uczy Stalin — może jedynie proletariat, który zbudował swą dyktaturę i dzierży w rękach kierownictwo kraju".

Ale tę prawdę odkryła światu dopiero Rewolucja Październikowa, ale tej prawdy dowiodła dopiero „szturmowa brygada światowego ruchu rewolucyjnego i robotniczego", partia Lenina-Stalina, budując pierwsze w dziejach państwo robotników i chłopów.

Obecnie, gdy na ogromnych obszarach świata od Pacyfiku do Łaby działa, idących za wzorem i korzystających z pomocy partii Lenina - Stalina, więcej takich brygad szturmowych, „łatwiej jest walczyć, a i praca poszła raźniej".

„Wykonanie wielkich planów narodowych bieżącego 10-lecia uczyni Polskę krajem potężnego nowoczesnego przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z przodujących krajów Europy. Gdy piszę te słowa zaczerpnięte z programu Frontu Narodowego, Polskie Radio wzywa właśnie do powrotu na posterunki pracy członków Komitetów Przeciwpowodziowych w dorzeczu górnej Wisły i jej dopływów, gdzie po ulewnych deszczach wezbrały potoki górskie, grożąc powodzią.

Nie dla każdego nasze ziemie górskie są najbliższe sercu, ale każdy z nas kocha te piękne ziemie starego polskiego osadnictwa. Mucharz w powiecie wadowickim nad Skawą istnieje już w XI wieku, Żywiec nad Sołą powstał w XII wieku, Kamienica u stóp Turbacza od XIII wieku, Limanowa nad Smolnikiem od XVI wieku, Oświęcim nad Górną Wisłą starszy jest od Warszawy i pojawia się na pierwszych, arabskich mapach tej części Europy już w XII wieku. Przecież tu każda grudka ziemi przesiąknięta jest potem i łzami wielu pokoleń polskiego ludu pracującego i jego krwią przelaną w setkach buntów i powstań chłopskich. A poza tym trzeba wiedzieć, że chodzi tu o ogromny obszar 14-cie tysięcy kilometrów kwadratowych, liczący kilka milionów ludności, 63 miasta, 17 uzdrowisk, 535 osiedli wiejskich i 500 zakładów przemysłowych. Obszar, na którym przebiega 700 klm. bitych dróg kołowych, 180 klm. kolei, na którym istnieje 2 000 mostów i przepustów. Cyfry te dają wyobrażenie o szkodach, jakie, jakże często, wynikały z czterokrotnych w ciągu roku powodzi, kiedy wszystkie te osiedla i budowle, jak również 20 tys. użytków rolnych atakowane bywały przez gwałtowny spływ wód i okruchów skalnych.

Z jakąż więc radością i dumą czytamy w programie Frontu Narodowego o ujarzmieniu w obecnym 10-leciu Wisły i jej wszystkich dopływów górskich, Bugu, Noteci i Warty itp., o wydobyciu z ich wód ogromnej ilości energii elektrycznej, wystarczającej do elektryfikacji *wszystkich* wsi w Polsce, znacznej części przemysłu i transportu kolejowego, do nawodnienia 200 tysięcy ha użytków rolnych, cierpiących co roku od posuchy i zabezpieczenia dalszych 200 tysięcy ha narażonych co roku na powódź.

Mamy jeszcze wiele trudności i braków, nie mamy jeszcze ani w przemyśle, ani w budownictwie, ani w transporcie, ani w rolnictwie, mimo ogromnego przewrotu technicznego w stosunku do czasów przedwojennych, takiej jeszcze ilości nowoczesnych narzędzi pracy i maszyn, któreby pracę produkcyjną uczyniły lekką a bardziej wydajną.

Nie ubieramy się jeszcze, ani odżywiamy, ani mieszkamy tak, jak byśmy tego chcieli.

I dlatego z radosną nadzieją i dumą wcielamy w życie program Frontu Narodowego, bo wiemy, że dzięki niemu do r. 1960 zwiększymy produkcję przemysłową 10-krotnie, a produkcję rolną blisko dwukrotnie. Że na bagnach Wizny w woj. białostockim, gdzie dziś żałosnym głosem nawołują się tylko czajki, powstanie wkrótce wielki Północno - Wschodni Okręg Przemysłowy, że obudzi się do nowego życia w górach Świętokrzyskich i w widłach Wisły i Sanu Staropolski Okręg Przemysłowy, że zadymią kominy nowego Nadnoteckiego Okręgu Przemysłowego ze stolicą w Pile, że Kujawy wkrótce już szczycić się będą wielkim okręgiem przemysłowym z ośrodkiem w Kłodawie, że uprzemysłowione zostaną ziemie górskie Sudetów i Karpat od Jeleniej Góry do Ustrzyk, że wzdłuż wielkiej trasy wodnej Wschód — Zachód oraz wzdłuż Wisły powstanie wiele nowych zakładów przemysłowych, że znikną ostatecznie z mapy naszego kraju zacofane województwa, pozbawione przemysłu, tej głównej dźwigni rozwoju gospodarki i kultury.

Najbliższe 10-lecie — to również wspaniały rozwój i ścisłe powiązanie z macierzą Śląska Opolskiego i Dolnego, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, Warmii i Ziemi Mazurskiej, które w warunkach niemieckiej gospodarki były i musiały być zaniedbanymi peryferiami, zagospodarowanymi wyłącznie pod kątem przygotowania strategicznej bazy wypadowej przeciwko Polsce i Związkowi Radzieckiemu.

Dziś jeszcze co drugi list korespondenta robotniczego i chłopskiego przynosi słowa skargi i bólu z powodu — niezawinionych przez autorów tych listów, a spowodowanych przez poprzedni ustrój — braków w wykształceniu. Choć już dziś uczy się w naszych szkołach czwarta część ludności naszego kraju, naród nasz z ogromną radością i dumą przyspiesza wykonanie Planu 6-letniego, bo wie, że już w obecnym 10-leciu zlikwidujemy skutki dawnej ciemnoty, a wszystkim dzieciom w wielkich miastach jak również znacznej części dzieci wiejskich zapewnimy podstawowe wykształcenie w zakresie szkoły średniej.

Wiele jeszcze milionów robotników, pracowników umysłowych i młodzieży szkolnej dojeżdża dziś z odległych nieraz stron codziennie do miejsca pracy i nauki, nie mogąc przenieść się do miasta z powodu ciasnoty mieszkaniowej naszych miast, zahamowanych w tym rozwoju przez ustrój kapitalistyczny. Z jakąż radością i nadzieją czytają oni o całkowitej odbudowie Warszawy, Wrocławia, Gdańska i Szczecina, o budowie dwóch nowych 100-tysięcznych miast Nowej Huty i nowych Tych, o rozbudowie wielu małych miasteczek na wielkie ośrodki przemysłowe (Kłodawa, Siedlce, Zambrów, Turek, Kraśnik, Puławy, Nowy Targ itp.), o gruntownej przebudowie Łodzi oraz miast węglowych Górnego i Dolnego Śląska, o budowie setek nowych osiedli mieszkaniowych — co podwoi niemal pojemność ludnościową naszych miast.

Rok 1952 przejdzie do historii naszego narodu jako rok Konstytucji, rok ogłoszenia wielkiego programu Frontu Narodowego, rok wspaniałej manifestacji jedności polityczno-moralnej naszego narodu przejawionej w wyborach do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Co jest rysem najbardziej znamiennym tych wielkich wydarzeń, które zmobilizowały miliony Polaków i Polek do jasnego wyrażenia swych myśli, uczuć i woli, do pracy i walki?

„Ich cechą najbardziej znamienną — wyjaśnia Prezydent Bolesław Bierut — *jest umocnienie się przekonania, że kroczymy po słusznej drodze, po niezawodnej drodze, która prowadzi do dalszych zwycięstw, do coraz lepszego życia dla wszystkich ludzi pracy.*

Skąd płynie to przekonanie? Płynie ono z doświadczeń, które co dzień gromadzą miliony ludzi porównując swój ciężki los i swoją niedolę w ustroju kapitalistycznym z tymi możliwościami, z tymi warunkami, które powstają w tworzonym przez nich ustroju socjalistycznym w Polsce, która przestała być dla nich macochą, a stała się Matką".

A była tą macochą przez wiele stuleci. I dlatego w ciągu całej tysiącletniej historii naszego narodu, jak i w historii innych narodów, ogromna większość energii społecznej wyładowywała się w wewnętrznych walkach klasowych i w wojnach zewnętrznych, do których zmuszane były ludy przez politykę wyzysku i ucisku, prowadzoną przez pasożytnicze klasy społeczne.

Ograniczenie, wypieranie i likwidacja na bazie budownictwa socjalistycznego pasożytniczych klas społecznych zmienia zasadniczo obraz naszego kraju. Stwarza bowiem warunki do powstania i do rozwoju jedności polityczno-moralnej całego narodu, do umocnienia więzów braterstwa i przyjaźni łączących go z innymi narodami, do skupienia energii całego narodu na przekształcenie gospodarki i kultury całego kraju stosownie do potrzeb narodu.

Krocząc naprzód naród nasz wśród walki i pracy zwraca dziś myśli swe i serca ku szturmowej brygadzie proletariatu światowego, ku partii Lenina - Stalina, ku przywódcy mas pracujących całego świata Józefowi Stalinowi.

To przecież Rewolucja Październikowa otworzyła przed naszym narodem tę wspaniałą drogę, którą dziś pod przewodem swej bohaterskiej klasy robotniczej i jej partii kroczy.

To przecież Kraj Zwycięskiego Socjalizmu, jego przyjaźń, pomoc i przykład umacnia nasze siły, uwielokrotnia wyniki naszej pracy, daje pewność ZWYCIĘSTWA.

Stanisław Cieślak

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

SPOTKANIE Z TRAKTORZYSTĄ

Świeci miesiąc, świeci gwiazd kilka,
a tam w cieniu chyba oczy wilka.

Ej, to nie wilk, nie wilk tam przysiada,
zwykły traktor — orała gromada.

A może to czasem jaki złodziej
na skraj lasu pod wioskę przychodzi?

Tak, to złodziej, ale bardzo dziwny,
on się skrada do serca dziewczyny.

Nie bój się dziewczyno, nie bój że się,
wilków nie ma już w tutejszym lesie.

Tylko na wprost okna twego domu,
stoi sobie szofer pokryjomu.

Rankiem, skoro słońce las ozłoci,
zobaczysz go znów przy robocie.

Traktor ruszy ze śpiewem szofera,
co przed twoim domem stoi teraz.

Jeśli tak, to niech w cieniu nie stoi,
niechaj przyjdzie prosto do drzwi moich.

MARIA ŻMIGRODZKA

O CHLEBIE I SOLI...

Maria Jarochowska

„*Ofiarujecie nam w dase chleb, to znaczy zecz, która jest czymś ajdroższym dla każdego człowieka pracy i ofiarujecie nam sól waszej mądrości...*“ tymi słowami dziękował polski chłop, członek spółdzielni produkcyjnej „Lepsze jutro“, ukraińskim kołchoźnikom za serdeczna przyjęcie i za bogactwo wiedzy i doświadczeń, którymi dzielili się ze swymi bracmi znad Wisły równie chętnie i szczodrze jak białym, wspólnym kołaczem. To zdanie wyjaśnia w pełni tytuł zbioru reportaży Marii Jarochowskiej *) poświęconego wycieczce chłopów polskich do Związku Radzieckiego w lecie 1950 r. Spółdzielczy chleb, który wyhodują krajowi polscy chłopi, zawdzięczać będziemy nie tylko trudowi ludu, jego woli dźwignięcia Ojczyzny, nie tylko mądrej polityce naszej partii, lecz także trzydziestu kilku latom trudnych pionierskich doświadczeń ludzi radzieckich. Uparta wola zbudowania nowego życia, entuzjazm i ofiarność, zaufanie do wskazań Lenina i Stalina sprawiło, że rolnictwo Związku Radzieckiego przoduje światu, że toruje chłopstwu krajów zmierzających do socjalizmu drogę o ileż łatwiejszą, pozbawioną iluż trudności, wahań i błędów. Pionierski trud kołchoźników radzieckich ukazać musiała i książka Jarochowskiej, choć autorka nie była, rzecz jasna, w stanie uwzględnić w swym reportażu o doświadczeniach chłopów polskich dziejów kolektywizacji w Związku Radzieckim. W informacjach uczonych i kołchoźników, we wzmiankach o historii zwiedzanych kołchozów trud ten rysuje się w sposób przejmujący. Brak doświadczeń w zakresie nowych form życia, konieczność wieloletniego wypracowania metod i norm pracy, trudność zwalczania „duszy posiadacza“ dla podjęcia bezprzykładnej w dziejach decyzji, wściekły opór rozwydrzonego latami domowej wojny kułactwa — z jednej strony, z drugiej zaś — jałowość ziemi, wyniszczonej rabunkową gospodarką, zacofanie i ubóstwo zrujnowanego wojną kraju — oto warunki, w jakich ludzie radzieccy rozpoczynali swą heroiczną drogę ku nowemu. A po latach zwycięstw i osiągnięć niszczycielska wściekłość band hitlerowskich sprawiła, że zaczynać trzeba było niemal od początku, na zdziczałej ziemi, wśród zgliszcz i ruin. „*Ale pozostało coś, co decyduje o wszystkim. Pozostały kadry*“ — pisze Jarochowska.—„*Olbrzymia energia, z jaką zabrali się do odbudowy, wspaniały entuzjazm tych chłopów jeszcze raz stał się potwierdzeniem słuszności wybranego przez nich kierunku rozwoju*“ Dzięki temu właśnie ludzie radzieccy zdobyli się na to zdumiewające tempo leczenia ran wojennych, które w parę lat nie tylko pozwoliło nadrobić wszelkie zniszczenia, ale stworzyło podstawy nowego potężnego skoku w losach Kraju Rad — rozwoju do komunizmu. Obserwowali to zjawisko ze zdumieniem chłopi z polskiej wycieczki, zwiedzający obwód odeski: „*Kraj posuchy, głodu i rozpaczy stał się krajem zwykłej ludzkiej radości. Ujarzmiona jest ziemia i ludzie przetworzeni tak, że nie dziwią się już swemu szczęściu*“.

Wycieczki chłopów polskich do Związku Radzieckiego stały się najlepszym środkiem propagandy spółdzielczości produkcyjnej, której rozwój stanowi o przyszłości naszego kraju. Perfidnej a bzdurnej plotce wroga klasowego, własnym lękom, oporom, nawykom przeciwstawić mogą pracujący chłopi doświadczenia naocznych poszukiwań i spostrzeżeń, obserwację pracy prostego człowieka radzieckiego, wgląd w kalkulację rentownej gospodarki kołchozowej, poznanie najbardziej nowoczesnych form uprawy i wykorzystanie maszyn, nad którymi czuwa przodująca nauka i technika. Chłop polski może skonfrontować losy swoje i swych bliskich z życiem ludzi radzieckich, z perspektywami przyszłości dzieci kołchoźników. Wybór może być tylko jeden: „*ten chleb doświadczeń, ta sól mądrości, dopomoże setkom tysięcy polskich chłopów zbudować na swoich wsiach socjalizm*“.

Plon wycieczek chłopów polskich do ZSRR w latach 1950—52 to nie tylko bezpośrednia, ustna agitacja po wsiach i spółdzielniach produkcyjnych, nie tylko twórcze wyzyskanie nowych doświadczeń w codziennej pracy gospodarza-spółdzielcy, a nawet gospodarza indywidualnego. Posypały się w prasie listy, wypowiedzi, artykuły uczestników wycieczek, doświadczenie każdego z nich było cenne i każdy tez pragnął podzielić się z jak największym kręgiem słuchaczy i czytelników swą nową żarliwą wiarą w lepsze jutro wsi polskiej. „Chleb i sól“ obok reportaży Witolda Zalewskiego zajmuje wśród tych publikacji pozycję szczególną. Jarochowska nie rezygnuje z informacyjno-agitacyjnych zadań reportażu. Jej relacja notuje wysokość dniówki obrachunkowej kołchozu „Milioner“, czy dane o zasadach karmienia krów, równie rzetelnie, jak czynili to zapewne, olśnieni nowym światem i nowymi perspektywami pracy rolnika, chłopi — uczestnicy wycieczki. Ale jednocześnie pisarka zamierzyła zobrazować zjawisko, którego pośrednim tylko wyrazem mogły być wypowiedzi uczestników wycieczki — nie tylko dać pełniejszy, uogólniony, literacko pogłębiony obraz osiągnięć kołchozowych towarzyszy, ale nade wszystko ukazać niezmiernie ciekawy proces przyswajania sobie wiedzy o nowym życiu przez chłopów polskich, narastania w ich świadomości nowych elementów socjalistycznego ujmowania wymogów życia społecznego. Ten doniosły problem naświetliła Jarochowska o tyle, o ile pozwalały jej na to warunki reportażu, który nie może rezygnować z niezbędnej w jego założeniu funkcji informacyjnej, który nie ma możności szerszego i wieloplanowego ukazania sylwetki ludzkiej. Reportaż różni się od prozy literackiej nie tyle rodzajem ujęć i środków artystycznych, bo wszak posługuje się również obrazem literackim, ale m. in. także fragmentarycznością wiedzy o człowieku, świadomym ograniczeniem zainteresowań dla jego typu reakcji do jednego tylko problemu, będącego naczelną sprawą reportażu. W ramach tego założenia programowej „dwuwymiarowości“, szkicowości reportażu Jarochowska zdołała w interesujący sposób przedstawić, czym dla chłopów polskich stała się możność poznania nie tylko osiągnięć, metod pracy, imponujących planów i perspektyw przyszłości ludzi radzieckich, ale także ich życia, ich stosunku do pracy, ich kultury, ich sposobu odnoszenia się do człowieka.

Grupa, z którą pisarka zwiedzała kołchozy obwodu odeskiego, mogła stanowić dobry przekrój przodujących mas pracującego chłopstwa polskiego. Byli tam członkowie spółdzielni produkcyjnych — mężczyźni i kobiety, niekiedy przewodniczący lub członkowie zarządów, gospodarze indywidualni, mający przywieźć swym wahającym się sąsiadom prawdę o warunkach nowego życia, byli fachowcy różnych gałęzi gospodarki spółdzielni produkcyjnej, szukający rady, jak wybrnąć z trudności stojących przed własnym terenem, byli wreszcie pracownicy POM-ów, pragnący poznać doświadczenia stacji maszynowo - traktorowych, słynnych MTS-ów radzieckich, poszukać wskazówek i wzorów pracy. Ci posłowie rzesz chłopskich jechali do Związku Radzieckiego wioząc w zeszytach dziesiątki pytań, na które kazała im gromada i spółdzielnia szukać odpowiedzi w obserwacjach i rozmowach. Najważniejsze pytania, mające uczynić plon cennych doświadczeń zasobem wiedzy fachowej polskiego rolnika dotyczyły problemu racjonalnej gospodarki i organizacji pracy spółdzielczej. „*Lecz delegaci zapisali sobie również i pytania w swej naiwności zdumiewające, odpadki dawnych, rozgłaszanych przez faszystów bredni o życiu w kołchozach, albo duby przez kułaków na nowo usmalone po to, aby nie dopuścić do złamania wyzysku... Zapisali nawet pytania, które ich samych, świadomych, oburzały. Po to, aby potem bzdurę zmiażdżyć argumentem rzetelnym, po to, aby przeciwko prowokacyjnej plotce wysunąć broń najbardziej skuteczną, świadectwo prawdy widzianej własnymi oczyma*“.

Bohaterowie reportażu Jarochowskiej zaprezentowani zostali czytelnikowi w krótkich charakterystykach o typie notatki biograficznej zaraz na wstępie książki w rozdziale „*Ci, którzy pojechali*“. I w tym właśnie reportażowym ujęciu osławiona ankieta personalna, natrętnie odbierająca postaciom powieściowym naszych książek wszelkie wymiary prawdy życiowej, tutaj oddaje właściwe usługi sprawie, wzmaga autentyczność ludzi realnych, tłumaczy kierunek ich zainteresowań, prawdę wniosków i przemyśleń. Metodzie autorki można zarzucić tylko jedno, oto brak troski o zachowanie autentycznego charakteru wszystkich wypowiedzi bohaterów, podanych w końcowym rozdziale p. t.: „*Ci, którzy wrócili*“ Niektóre z tych wypowiedzi streszczających plon doświadczeń wniesionych z wycieczki uderzają prawdą i autentycznością (np. Stanisławy Wolskiej), na niektórych widać jednak znamiona niedobrej roboty stylizatorskiej, przekształcającej je w gazetowe banały. Każdą wypowiedź mogą streścić dwa lapidarne zdania. Ignacy Marek gospodarz indywidualny jechał na Ukrainę, żeby rozwiązać wątpliwości nurtujące i jego samego i średniaków jego gromady. Po powrocie relację o oszałamiających go postępach mechanizacji gospodarki radzieckiej, o łatwości pracy zespołowej zakończył krótko: „*Spodobało mi się*“. Władysław Senderak natomiast, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, który „nie po przekonanie wyjeżdżał“ dodaje: „*Jak ktoś śmie źle powiedzieć o Związku Radzieckim, to mu się napluje w oczy*“.

Maria Jarochowska słusznie i trafnie wskazała na te momenty, które miały dla polskich chłopów największe znacznie agitacyjne, które w sposób najpełniejszy przekonywały ich o wyższości gospodarki zespołowej i pięknie perspektyw wspólnej pracy. Już na wstępie podróży po Ukrainie natknęli się na zjawisko, które nadało żywą i urzekającą treść temu, co może obiło się im już o uszy o współpracy nauki z kołchoźnikami radzieckimi. Pogardzana przez stulecia praca chłopska, uciążliwe i tępe „grzebanie w gnoju“, ukazała się teraz chłopom polskim jako jedna z najdonioślejszych w skali krajowej gałęzi wiedzy, jako dziedzina wymagająca pracy mózgu na równi z pracą rąk, zmuszająca do stałego pomnażania swych wiadomości teoretycznych, do ciągłego kontaktu z wynikami przodującej grupy naukowców. Odkryto przed nimi wielkość i piękno pracy człowieka, opanowującego przyrodę, ukazano potęgę myśli i trudu ludzkiego w wynikach codziennego prostego dnia roboczego radzieckiego chłopa. I to kazało im zwrócić uwagę na własne, niewyzyskane możliwości, kazało żałować lat pozbawionych nauki i światła, trzymanych przez wrogów w ciemnocie i niewiedzy.

Drugim olśnieniem była mechanizacja rolnictwa. Jarochowska w sugestywnym i pięknym obrazie literackim rysuje moment, gdy pełna godności rezerwa chłopska, której nie przełamały żadne cuda ziemi radzieckiej, pryska w zetknięciu z pierwszymi kombajnami: „*W grzmocie silników, pod ukośnie padającymi promieniami słońca chłopi polscy pędzą naprzód i krzyczą, krzyczą, krzyczą pełnymi płucami, z całych sił. Kilku udało się wskoczyć na ruszające maszyny. Teraz usadowieni na platformach rozglądają się z wysokości niby kapitanowie okrętów na swych mostkach*“. Entuzjazm chłopów wita maszynę wyzwolicielkę z niewolnictwa ciężkiej ,ogłupiającej, tępej pracy, torującą drogę do przyszłości, w której praca stanie się radością, dumą, dźwignią pełnego rozwoju człowieka. „*Ten pęd i potężny krzyk wyraża wspomnienie chłopskiej przeszłości twardej i trudnej, gdy ziemi pokrojonej w cieniutkie tasiemki było za dużo, aby umrzeć, a za mało, aby żyć. To krzyk słuszności obranej drogi w przemianie teraźniejszości wiejskiej. Ale przede wszystkim jest w tym potężnym porywie olbrzymi entuzjazm dla narodu, który dokonał tego, że człowiek przestał być niewolnikiem swej ziemi a stał się panem maszyny*“.

Największym bowiem odkryciem stał się dla chłopów polskich człowiek radziecki. Jego wytrwałość i ofiarność, jego mądrość i zaciętość w pracy. Dzieje kołchozu „Milioner“ zdumiewają ludzi nie bogactwem zbiorów, nie zamożnością członków, ani stale rosnącą wysokością dniówki obrachunkowej. Najwyższy podziw budzą dzieje podniesienia tego przodującego przed wojną kołchozu z ruin i zgliszcz, jakie pozostawili tu faszyści. Ileż hartu wytrzymałości, samozaparcia, ile poczucia obowiązku społecznego, ile zaufania do własnych sił i zaufania do socjalizmu, ileż mądrości prawdziwych gospodarzy trzeba było na to, by zdobyć się na rezygnację z podniesienia własnej stopy życiowej bezpośrednio po wojnie, po to, by inwestować, odbudowywać i planować na wyrost, „aby realizować marzenie wspólne o rozkwicie kołchozu, szlachetne marzenie o sławie“. Budzi też podziw stosunek ludzi radzieckich do swych towarzyszy, ludzka serdeczność, życzliwość, możliwa tylko tam, gdzie człowiek pokonawszy „duszę posiadacza“ wyzbędzie się jednocześnie cech drapieżnego zwierzęcia jakie hoduje w nim społeczeństwo kapitalistyczne. „*Ten koniuch z brodą po pas mówi do mnie i do Pajgerta w te słowa: — my wam życzymy żebyście zbudowali jeszcze lepszy kołchoz od naszego Tak to powiedział, jakby spod samego serca wyjął z całej duszy. — U nich to zwyczajnie, ludzie wychowani, jeden drugiemu nie zazdrości, dla drugiego narodu życzliwy. Starajcie się — powiadają — lepiej od nas, spróbujcie nas prześcignąć...*“ Kombajner Kaczenko uczy swych polskich towarzyszy nowego rozumienia słowa „moje“, rozumienia, jakie narodzić się mogło tylko w społeczeństwie socjalistycznym. Moje jest to, nad czym pracuję, czemu poświęcam swe myśli i zainteresowania, czemu służę swoim wysiłkiem i co mnie służy, by życie moje było lepsze, bardziej twórcze, szczęśliwe. Tego właśnie stosunku do własności musimy się uczyć od ludzi radzieckich, jeśli chcemy budować socjalizm.

Plon doświadczeń polskich chłopów po zapoznaniu się z życiem wsi radzieckiej, to potężny ładunek zapału i wytrwałości, świadomości celu i znajomości dróg jego realizacji, który uczyni ich gorliwymi bojownikami o lepszą przyszłość naszej wsi. W ich doświadczeniach streszcza się to wszystko, co zawdzięczamy wielkiemu krajowi socjalizmu — pomoc, przykład, przyjaźń.

Maria Żmigrodzka

*) *Maria Jarochowska „Chleb i sól. Z chłopami polskimi u kołchoźników radzieckich“. Książka i Wiedza 1951.*

ZOFIA BARCHANOWSKA

SPOTKANIA

WOSTATNICH dniach odwiedziłam w województwie łódzkim i poznańskim kilku chłopów, którzy w tym roku byli na wycieczce w Związku Radzieckim. Oto garść notatek z tej podróży.

*

„*Przez tę wycieczkę o mało nie wywróciła się u nas sprawa spółdzielni*“. Tak mnie powitał w Ochodzy (pow. Węgrów) Klemens Kamiński. Chłop pod pięćdziesiątkę, gruby, o twarzy okrągłej i czerwonej śmiał się do rozpuku. Widać nie raz już powtarzał to zdanie słowo w słowo. W okolicy stało się ono swojego rodzaju *sensacyjnym tytułem*, po którym przypominają sobie ludzie zwycięskie dzieje walki o spółdzielnię produkcyjną w Ochodzy. Kiedy zapoznałam się z tymi dziejami słuszniejszy wydał się mi inny tytuł, np. „*Wycieczka pomogła zdemaskować kułaków*“. Kamiński zgadzał się, ten byłby lepszy, bo akuratny. Ale cóż, przyjął się pierwszy i może nie bez powodu... Bo rozpatrzmy się w sytuacji. Sam Kamiński to były fornal poznański. Z Reformy Rolnej otrzymał około 9 ha ziemi. Stał się średniakiem we wsi, którą przecina wyraźny podział klasowy.

Na 54 gospodarstw 13 sięga 15—20 ha, a 4 do 30 ha. Razem z nim otrzymało ziemię z Reformy jeszcze ośmiu innych fornali.

Ta grupa byłych robotników pracująca wśród średniaków z działa tu wyrosłych straszyła kułaków ale do czasu jeszcze ich nie przerażała. Dopiero, kiedy wokół Ochodzy za granicznym kopcem Rgielsk, Sienna i Łągowa przekształciły się w spółdzielnie produkcyjne, poczuli się jak w matni. Spółdzielnie sąsiedzkie okazały się bowiem nie malowane. Rgielsk skup zboża wykonał w 180 proc., Sienna jeszcze we wrześniu już w 110 proc., a w Łągowej chłopi mówią, że siekierami pocięli by takich, coby ważyli się odebrać nowe życie spółdzielcze. Kułacy od dwóch lat (od czasu powstania spółdzielni) przeszli w Ochodzy do oporu jawnego, marnotrawiąc ziemię, nie wypłacając się z podatku i nie wywiązując ze skupu. Wydawało im się, że huczkiem wokół siebie i „determinacją“ po staremu zastraszą. Pierwszy cios na miejscu zadał im w ub. roku właśnie Kamiński. Były fornal, tak, ale teraz średniak, świetnie gospodarujący — 6 krów, 2 konie, 12 świń.

On to stał się propagatorem uspółdzielczenia gromady. Agitator niebezpieczny, bo wiadomo, zgodnie ze statutem dekJaruje konie i 4 krowy. Dobry gospodarz zabija klina w głowie innym dobrym średniakom. Wieś stoi na hodowli, wspaniałe łąki dostarczają do syta paszy, w spółdzielni zatem rozwój bydła i świń (ziemniaczano-żytnia uprawa) mógłby być ustokrotniony.

I wtedy, to znaczy jesienią ubiegłego roku, kułacy milkną. Inicjatorom spółdzielni i gromadzie wydaje się, że otoczeni Rgielskiem, Sienną i Łągową, które święcą sukcesy w zespołowej pracy, bogacze dają wreszcie za wygraną. Powstaje Komitet Założycielski ale jakiś niemrawy, zwlekający. Mija w tej nijakości wiosna 1952 r. Kamiński — zaproszony — jedzie na wycieczkę do Związku Radzieckiego. Wydaje mu się, że znajdzie tam osiągnięcia i argumenty, które ostatecznie przełamą w Ochodzy wahania i poderwą średniaków do spółdzielni. Oczywiście, znalazł czego szukał. W kołchozie w rejonie Kamieńca Podolskiego krowy dają 5 do 7 tys. litrów mleka z zawartością 4,3% tłuszczu. Dzięki czemu? Dzięki stosowaniu zimowego wychowu cieląt, selekcji stada, prawidłowemu płodozmianowi i mechanizacji prac hodowlanych.

Kamiński po powrocie szczegółowo przedstawia — program takiej, wysokodajnej hodowli. Punkt za punktem przemawia za nieodwołalną potrzebą zespołowej hodowli, zespołowej pracy. Wtedy na oczach gromady demaskuje się średniak Mesjasz, członek Komitetu. — Nie potrzeba rozwoju bydła! Nie potrzeba większej mleczności! Mówi przez niego kułak Chwala. „Spalił się“, więc kułacy kończą z polityką „wody w ustach“. Grożą Kamińskiemu, że go zatłuką. Wszystko stało się jasne. Stary Komitet rozlatuje się, ale równocześnie powstaje nowy z dziewięciu nadzielonych ziemią fornali i jednego bezrolnego. Wiosną 1953 ruszają do wspólnej pracy.

*

Jan Włodarczyk w Orzechowie pod Łodzią jest gromadzkim bibliotekarzem.

Wycieczka do Związku Radzieckiego natchnęła go nowym zapałem. Pogłębiła wiarę w rewolucyjną siłę kultury. Oglądał ją w kołchozach pod różnymi postaciami — czytelnictwa, kina, teatru, pałacu dziecięcego, szpitala, telefonu na żniwnych polach, kursów i kółek rozmaitych specjalności. Olbrzymia różnica jaka dzieli życie oglądanych kołchozów od życia jego małej i na uboczu położonej wioski, doprowadziła Włodarczyka do bardzo ciekawych praktycznych wniosków. Postawił tezę, że nic bardziej i trafniej nie dźwignie Orzechowa, jak właśnie „robota kulturalna“.

Orzechów liczy 20 gospodarstw. Wioska leży 12 km od szosy, 30 km od najbliższych miast: Aleksandrowa i Konstantynowa. Brak więc jej stałych i silniejszych powiązań z ośrodkami życia politycznego i kulturalnego powiatu a nawet gminy. I od niej bowiem oddziela Orzechów dolina Neru.

— Wszystko u nas złożyło się na to — objaśniał mnie Włodarczyk — abyśmy żyli jak u Pana Boga na zapiecku. Bo rachujcie. Po pierwsze — nasza wioska powstała 25 lat temu z osadnictwa. Chłopi za uciułane pieniądze zakupili ziemię po 4—5 ha i na tych działkach przetrwali do dzisiaj. Co to obecnie znaczy? A to, że mamy dwa pokolenia w wojnie. Ojcowie liczą dziś 50—70 lat. Oni kupili tę ziemię, oni ją dzierżą. Dzieci przybyło, mają dziś 20—35 lat, gnieżdżą się w rodzinnych domach, mało co żenią, bo sukcesją jeszcze nie władają, a do podziału wiele by nie przypadło. Ten brak usamodzielnienia się dorosłe pokolenie odczuwałoby jeszcze dotkliwiej, gdyby nie **druga sprawa.**

Z Reformy Rolnej dostaliśmy po pół ha łąki (z majątku Malanów), a to są łąki nad Nerem, najtłustsze łąki w kraju. Bez żadnego zachodu dają 80 q siana z ha. Toteż rozwinęła się u nas hodowla. Każdy ma po 3 do 5 krów. Ale te łąki wzmogły jeszcze bardziej gnuśność. Bo jest z czego dobrze żyć a pracować nie trzeba. Gromadzkiego pastucha zmówiła wieś, pilnuje dzień w dzień wszystkich krów a reszta próżnuje. Nie ma trudności materialnych, można próżnować, i to usypia dorosłe pokolenie, wyzwolone z przedwojennej nędzy usypia jego energię i nową inicjatywę.

Włodarczyk po powrocie z wycieczki począł się dwoić i troić w pracy bibliotekarza. Rozczytał wieś i to w broszurach i powieściach, przedstawiających życie kołchozów radzieckich, które sam oglądał. Nie ma dziś w Orzechowie człowieka, któryby nie znał Jarochowskiej: „Chleba i soli“, „Jak żyją i pracują kołchoźnicy na Ukrainie“, „Na Ukrainie szumi pszenica“ i Babajewskiego „Kawalera Złotej Gwiazdy“.

Włodarczyk rozczytał wieś, to znaczy doprowadził do spontanicznych zebrań i pogawędek. Starzy chłopi wdali się w publiczne dyskusje z chytrością, wartą lepszej sprawy. Paznokciami poznaczone broszury stanowiły w tych debatach materiał rzeczowy. Starzy przyczepili się do do kombajnów. Jakto? Ręcznie skosi się za dzień pół hektara zboża, traktorem — 2,5 ha a może to być taka maszyna, coby za dzień skosiła i wymłóciła 20—25 ha? Nie do wiary! Tak się odzywał orzechowski zapiecek. A co robi kombajn ze słomą? Odkłada na kupki. Acha...

A to pewnie na Ukrainie pszenica rzadka, dlatego 20 ha zetnie kombajn. U nas by nie poradził, bo siejemy gęsto. I na to znalazła się odpowiedź. Po pierwsze, w Orzechowie hektar daje 14 q, więc wcale nie gęsto. Po cóż łgać. Po drugie nie o 20—25 ha idzie, ale o równoważną wartość produkcyjną. Kombajn ścina i młóci dzienni 60—70 ton i wszystko mu jedno, czy zboże gęste czy rzadkie. Acha... Starzy niezręcznie zahaczyli o najdalszą perspektywę rolnictwa. O tę, która właśnie mogła i obudziła młode pokolenie. Babajewski z elektro-stacją zapalił ich jeszcze bardziej. Powstał już w Orzechowie Komitet Założycielski, złożony z najżarliwszych czytelników. — Ma się rozumieć — powiada Włodarczyk — młodsze to a dorosłe i trochę już przegrzane pokolenie.

*

Antoni Stasiński jest najmłodszym członkiem spółdzielni produkcyjnej w Rudnikach (gm. Opalenica, pow. Nowy Tomyśl). Ma 29 lat. Tego to najmłodszego wybrał zespół na przewodniczącego. W Komitecie Powiatowym powiadają, że Stasiński mówcą jest kiepskim, ale gospodarzem zawołanym. Na polach spółdzielni słów mu nie brakuje. Z pamięci wylicza: „wczoraj zasialiśmy 55 ha pszenicy, do zasiania jeszcze 180 ha żyta“,

— A ile krów?

— 35 dojnych, 3 jałowice, 11 cieląt, 1 buhaj, u 53 członków — 70 sztuk, razem dorosłych — 105, to znaczy 18 sztuk na 100 ha, nasycenie wcale dobre.

— A co Wam dała wycieczka?

— Co? Reformę mojej reformy. Po powrocie moje sprawozdanie to była samokrytyka na całego.

Stasiński bowiem doprowadził spółdzielnię do bardzo składnej organizacji pracy. Wyodrębnione zostały brygady: hodowlana, podwórzowa, i dwie polne: konna i piesza. Z tych ostatnich był Stasiński szczególnie dumny. Przy 33 koniach zespołu wydawało mu się słusznym stworzyć konną brygadę. A tu na polach kołchozowych na Ukranie zobaczył organizację zgoła inną. Pracownicy polowi dzielili się nawet na kilka brygad ale zawsze brygada była mieszana: konno-piesza. Dlaczego?

Po pierwsze — większa odpowiedzialność. Brygada taka ma bowiem przydzielone określone pole płodozmianu i wszystkie prace konne i piesze wykonuje na nim od orki aż do sprzętu, czyli za pole i za cały proces produkcyjny może odpowiadać.

Po drugie — przydział pola na stałe prowadzi do lepszego poznania warunków gleby, uprawy i plonów. Brygada zna każdy dołek i górkę, wie gdzie śnieg zależy a gdzie prędko staje itd. Dlatego może prowadzić najbardziej racjonalną uprawę, stosować odpowiednie nasiona i prawidłowe zabiegi pielęgnacyjne.

Po trzecie — kołchoz może prowadzić kontrolę wyników pracy brygad, porównywać je i wyciągać wnioski dla usprawienia pracy.

Po czwarte — dopiero brygady konno-piesze pozwalają wprowadzić współzawodnictwo na polu.

Samokrytyka utalentowanego i oddanego spółdzielni przewodniczącego stała się podstawą przeorganizowania brygad polowych. Spółdzielnia zrobiła nowy krok naprzód.

*

W Felicjanowie (pow. brzeziński) zastałem nowozałożoną spółdzielnię produkcyjną. Duża w tym zasługa Zofii Kornackiej.

Na wycieczkę do Związku Radzieckiego pojechała świadoma odpowiedzialności za położenie jej wsi. Sytuacja bowiem Felicjanowa dojrzała do zasadniczych rozstrzygnięć. Przed wojną mieszkali tu niemieccy koloniści, którzy w 1945 r. uciekli razem z ustępującymi oddziałami hitlerowskimi. Na gospodarstwach (z Reformy, 4—5 ha) osiedli chłopi z okolicznych wsi, biedota mało lub bezrolna. W większości młode małżeństwa. Młode małżeństwa, to znaczy maleńkie dzieci. Brak więc większej siły roboczej i co gorsze, związanie rąk tym, które są. W tych warunkach Felicjanów nie wyszedł poza żyto i kartofle. A to znaczy: mały dochód, kiedy dla przybywających dzieci powiększenie dochodu staje się coraz pilniejszą koniecznością.

Dochód mogą powiększyć kontraktacje: buraka, rzepaku, lnu oraz lepsza uprawa zbożowych i okopowych. Do Łodzi nie daleko, można by hodować warzywa ale... brak rąk do pracy. Brak oczywiście w starym porządku pracy rozproszkowanej indywidualnie.

Kornacka wiele widziała w kołchozach Ale po powrocie całe bogactwo obserwacji i doświadczeń zgromadziła wokół sprawy dla Felicjanowa najważniejszej.

Oto w kołchozie im. Budiennego jedna brygada polowa złożona z 38 osób, przy pomocy 9 traktorów i 3 kombajnów obrabia 1156 hektarów. A u nas 300 ha ziemi i 60 rodzin, POM mamy w Koluszkach — jest wyjście, jest rozwiązanie, jedyne i wspaniałe.

Felicjanów wszedł już na nową drogę.

Zofia Barchanowska

HALINA FILUTOWICZ

Numer 2458

W zabudowaniach stacji ciemno. Tylko z jednego okna spod opuszczonej rolety sączy się smużka światła. To gabinet kierownika.

— Mówicie, że rodowód numeru 2458 nie potwierdza tych cech, które zaobserwowaliśmy w ciągu poprzednich lat? — Inżynier Borucki uważnie spojrzał znad rozłożonych na biurku ksiąg hodowlanych na Małeckiego.

Małecki bezradnie rozłożył ręce.

— Sprawdźcie, inżynierze. Przejrzałem wszystko dwukrotnie. To, co znajdujemy w rodowodzie, zupełnie mija się z wynikami w praktyce. W latach poprzednich 2458 nie wyróżniał się spośród innych rodów. Kłos był raczej średni, słoma niezbyt sztywna, tymczasem w tym roku wszystko dzieje się odwrotnie. Kłosy są duże, słoma krótsza, mocna i sztywna. No i ta fantastyczna żywotność! Skąd? Doprawdy nie rozumiem.

Borucki w zamyśleniu stukał ołówkiem w blat biurka.

— Cudów nie ma! W tym sęk, skąd to się wzięło?... Czekajcie, kolego... Kto przeprowadzał zasiewy? — Kaliński.

— Hm. — Inżynier pokręcił głową z zadowoleniem. — Niedobrze. Trzeba było polecić siewy Moledzie. Chociaż młodszy od Kalińskiego, lecz poważniejszy. Gdy skończy praktykę, będzie z niego pociecha. Kaliński, jak mi się wydaje, mało interesuje się pracą. Powinniście go jakoś zająć, zaciekawić tym, co robi. Wiecie przecież tak dobrze jak ja, że siewy to praca odpowiedzialna. Może Kaliński coś pokręcił? Czy sprawdzaliście woreczki z nasionami i numerki?...

— Inżynierze! — poderwał się z fotela zdenerwowany Małecki. — Byłem cały czas przy siewach, wszystko sam kontrolowałem. Ręczę za to, że nic nie zaszło takiego, co mogłoby spowodować takie niczym nieuzasadnione zmiany!

— No. No. Nie denerwujcie się— łagodził Borucki. — Jeśli twierdzicie, że wtedy wszystko było w porządku, to przyczyna musi tkwić gdzie indziej. Zobaczymy?

Skąd wzięły się cechy zupełnie obce temu rodowi? I to takie cechy, które w każdym innym wypadku napełniłyby go radością. Tak mu przecież zależało na wyhodowaniu odmiany, której sztywna i krótka słoma dźwigająca pełny kłos pozwalałaby na sprzęt kombajnem. Wyhodowanie materiału matecznego oznaczonego numerem 2000 i superelity 2020 zbliżyło go trochę do tego ideału. W tym roku jednak zupełnie nieoczekiwanie pobił je ród 2458 dzięki nowym, niespotykanym dotąd u niego cechom. Czyżby jednak mimo zapewnień Małeckiego, wytrawnego, wieloletniego praktykanta w hodowli, „nakręcił" coś przy siewach młodszy technik — Kaliński...?

*

O tym, że kierownika męczy wciąż myśl o tajemniczej zmianie cech jednej z grup żyta, wiedział cały personel stacji.

— Przez całą okupację byliśmy razem — mruczał do praktykantów technik Małecki. — Razem, można powiedzieć, biedę klepaliśmy, razem odbudowywaliśmy tę naszą placówkę, a takim go nie pamiętam. Toż to już czwarty rok idzie, jak stacja stanęła na nogi, tyle się zrobiło, no i trzeba pecha z tym numerem! Świat się kończy, żeby w hodowli żyta zjawiały się takie niespodzianki!

Po piętnastym września pogoda poprawiła się. Wiatr obsuszył bielicę, tak typową dla pomorskiego Kłosowa, słońce ogrzało pola ostatnim, jak mówił Małecki — „ziębnącym ciepłem", no i nadeszła pora siewów. W przeddzień ich rozpoczęcia wszystko było przygotowane, woreczki, paliki z numerami, rowy do siewu punktowego, sznury...

Na odprawie postanowiono, że wysiane zostaną numery od 1275 do 2700 za wyjątkiem numeru 2458.

— Księgi hodowlane po dokładnym przejrzeniu chciałbym mieć znów u siebie — powiedział na odchodnym kierownik — może wy zajdziecie do mnie wieczorem — poprosił Kalińskiego — i od razu przyniesiecie je ze sobą?

Ten wieczór 17 września 1948 roku na długo utrwalił się w pamięci Kalińskiego.

W gabinecie kierownika paliło się światło.

— Proszę, proszę — odpowiedział na jego pukanie trochę ochrypły głos inżyniera. — Proszę — powtórzył raz jeszcze, gdy Kaliński stanął już na progu. — Siadajcie — uprzejmym ruchem wskazał fotel technikowi.

— Z tymi siewami to ja pokręciłem, panie inżynierze — Kaliński nie bez pewnych oporów postawił sprawę jasno. Numer 2458 wysypał mi się z torebki, więc zamiast niego wziąłem garść ziarna superelity z Żabna. Wysiałem... Myślałem, że nikt się nie pozna...

— Z Żabna? — powtórzył Borucki, unosząc się z krzesła. Wyglądał jakby nie zrozumiał dokładnie słów, które posłyszał przed chwilą. — Wzięliście nasiona z Żabna? Ależ tam zakładaliśmy przecież... Poczekajcie, poczekajcie... — podniósł rękę, nie chcąc aby mu przerywać toku myśli. — Superelita z Żabna! A numer pamiętacie?

Kaliński zaintrygowany zachowaniem inżyniera poczuł, że i jego ogarnia jakaś nieznana do tej pory ciekawość, nowe, porywające uczucie zrodzone z zainteresowania pracą.

— O tak. Pamiętam. Na etykiecie wypisano numer trzydzieści jeden.

— A więc to były porównawcze... Porównawcze naszych materiałów matecznych z innymi, obcymi odmianami. I stąd... — Zatrzymał się, uderzony nagłą myślą... — Ależ naturalnie. Stąd pochodzą te nadzwyczajne cechy w naszym dotychczas przeciętnym numerze 2458. Oto początek wątka i zarazem praktyczne uzasadnienie celowości nowych, zamierzonych przeze mnie doświadczeń. Bardzo wam dziękuję, kolego, bardzo. Tak męczyłem się nad tą zagadką. Teraz znam już źródło.

— Ależ ja...

— Oczywiście, oczywiście — przywtórzył niedopowiedzianym słowom Kalińskiego Borucki. — Popełniliście rzecz karygodną, żeście się nie przyznali od razu. Ale ten przypadek przyśpieszył moją decyzję założenia nowych doświadczeń, do których punktem wyjścia, praktycznym oczywiście, stała się mimo woli historia z numerem 2458. Znacie język rosyjski, prawda? No to przeczytajcie sobie ten krótki rozdział! — Zarysował paznokciem w otwartej książce jakiś fragment. — To „Agrobiologia" Łysenki.

Numer 2458 zawdzięczał swą żywotność i nowe, zdumiewające cechy specjalnie korzystnemu doborowi komórek płciowych innej odmiany. Było to, jak Łysenko pięknie określa, tak zwane „małżeństwo z miłości" u roślin.

*

Minęła jesień 1948 roku. Minął rok 1949. W Kłosowie zebrano z pietyzmem rody wyprodukowane metodą swobodnego zapylenia, wysiano znowu jesienią tego roku i z niecierpliwością oczekiwano wyników śmiałego eksperymentu.

Wiosna 50 roku opóźniła się trochę. W Kłosowie czekano jej z upragnieniem, gdyż zima dała się porządnie we znaki.

I oto pewnego ranka stary Małecki, wyszedłszy na codzienny apel przy stodole, pociągnął nosem i orzekł nieodwołalnie: — Wiatr się odmienił. Czuję wiosnę!

Tego dnia Kaliński wcześnie wybrał się na obserwację.

Wschody były równe, krzewienie dobre, listki — mocne i zielone. Jakaś tabliczka z numeracją przekrzywiła się pod naporem śniegu, który teraz rozpływał się w marcowym słońcu. Kaliński pochylił się, aby ją umocować. Był to numer, od którego zaczęła się owa pamiętna historia, numer, którego resztkę zużyto dla porównania czy produkowane w nowy sposób rody będą wykazywały podobnie jak on cenne zalety. Jesienne obserwacje i to, co widział teraz wskazywało już, że rody hodowane w ten sposób jak numer 2458 wybijały się żywotnością. Nowa metoda biła dawną, polegającą na ścisłej izolacji od innych odmian żyta.

Mając przed oczyma rozległy obszar pól, Kaliński pomyślał z radością, że dziś na apelu stary technik Małecki klepnął go po dawnemu w ramię, pytając o „zdrowie" nowych doświadczeń. Był to najoczywistszy dowód, że dawna, uzasadniona zresztą uraza poszła wreszcie w niepamięć.

Już niedługo nowa odmiana zakołysze się pięknymi kłosami na wielu polach, w najrozmaitszych rejonach Polski — pomyślał Kaliński, i mrużąc oczy w ostrym, marcowym słońcu, sprężystym krokiem ruszył na dalszą inspekcję.

Halina Filutowicz

Kronika radziecka

Towarzysze walki i pracy

„DUŻO robotników brało udział w walce rewolucyjnej bez świadomości, a teraz przeczytają „Matkę" z wielkim dla siebie pożytkiem..." Te słowa rzucił Gorkiemu Lenin w czasie spotkania w roku 1907. Jeszcze nad Rosją ważyła się ciemna noc niewoli, ale już przebijała jutrzenka wolności: Lenin organizował pierwszą rewolucyjną partię proletariatu. Gorki wydał pierwszą powieść proletariacką „Matka", która stała się szkołą świadomości klasowej dla uciśnionych całego świata.

W roku 1906 wraz z „Matką" narodziła się literatura, służąca celom wyzwolenia ludu pracującego. Przyoblekły się w kształt myśli Lenina o konieczności powstania nowej prawdziwej wolnej sztuki. „Będzie to — pisał — literatura wolna dlatego, że będzie służyła nie przesyconej bohaterce, nie znudzonym i cierpiącym z nadmiaru tłuszczu „górnym dziecięciu tysiącom", lecz milionom, dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy stanowią kwiat kraju, jego siłę, jego przyszłość".

Czerpiąc ze wskazań Lenina i w oparciu o pierwszy twórczy przykład Gorkiego, powstała bogata rewolucyjna literatura radziecka. Otworzyła przed masami świat wiedzy i wzruszeń, świat nauki marksistowskiej.

Gdy rozległo się echo salw „Aurory" i później, gdy młode państwo socjalistyczne odpierało najazd 14 państw kapitalistycznych, książka radziecka pomagała ludowi zdobywać władzę, niosła w masy ideały Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, uczyła je kochać i wcielać w życie. Tak w ogniu walk hartowały ludzi radzieckich książki Majakowskiego, Serafimowicza, Fadiejewa, Szołochowa, Aleksego Tołstoja.

A już z płomieni rodziło się nowe i na zgliszczach starego powstawało nieznane dotąd życie. Kształtował się socjalistyczny człowiek radziecki. Ten proces oddaje najlepiej „Poemat Pedagogiczny" Makarenki i „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego.

Stalowi, mocni ludzie zaczęli budować socjalizm, bohaterowie stalinowskich pięciolatek zostali utrwaleni na kartkach powieści Krymowa („Statek Derbent"), Szołochowa („Zorany ugór"), Gładkowa („Cement") i innych.

W okresie Wielkiej Wojny Narodowej literatura radziecka uczyła walczyć i zwyciężać. Niezapomniane jest bohaterstwo „Młodej Gwardii", utrwalone przez Fadiejewa. Wielki i piękny jest w opowieści Polewoja przykład pułkownika Mieresjewa, który siłą patriotyzmu pokonał fizyczny opór kalekiego ciała. Niezliczone, wytrwałe męstwo żołnierzy frontu i robotników zaplecza zrodziło nowe, piękne i niezapomniane książki.

Dziś powieść radziecka jest donosicielem orężem w walce o postęp i pokój, opiewa nowe życie, zapowiada erę komunizmu (Bubajewski, Pawlenko, Nikołajewa).

Książka radziecka uczy walki i budowy nowego lepszego ustroju — komunizmu. Walcząca powieść radziecka stała się nieodłącznym towarzyszem ludzi w ZSRR.

„Poziom kultury można trafnie określić na podstawie ilości wydawanych w kraju książek i gazet" — powiedział M. Gorki. Słowa wielkiego pisarza - bojownika nabierają szczególnego znaczenia dzisiaj. W ZSRR wydano w roku 1950 więcej książek, niż w USA, Anglii, Francji i Włoszech razem wziętych. Taka jest przekonywająca różnica między nieustannym rozwojem społeczeństwa socjalistycznego, a degradacją kapitalizmu, dławiącego siły ludu, obawiającego się rozwoju kultury narodowej.

W okresie powojennym publikacja książek w ZSRR nabrała jeszcze większego rozmachu. W milionowych nakładach wydawane są książki naukowe i polityczne. Systematycznie wydawane są wysoce ideowe utwory literatury pięknej, których potrzebę stale odczuwają ludzie radzieccy. Wśród tych publikacji czołowe miejsce zajmują utwory laureatów Nagród Stalinowskich.

Człowiek radziecki głęboko ceni książkę, a w swej ocenie kieruje się przede wszystkim jej treścią, bogactwem ideowym, użytecznością dla sprawy zbudowania komunizmu. Książka stała się nieodłączną częścią życia człowieka radzieckiego. W rodzinie robotnika, kołchoźnika, inteligenta półka z książkami zajmuje najbardziej poczesne miejsce w domu. Dzięki sieci bibliotek ludzie radzieccy mają możność bezpłatnego wypożyczenia każdej książki. Książka dla człowieka-budowniczego komunizmu to wielki doradca w pracy, mądry kolega w chwilach odpoczynku. Książka radziecka stała się orężem walki o zbudowanie nowego lepszego świata. Z niej czerpią natchnienie i pomoc, doświadczenia i wskazówki miliony prostych ludzi. Również w Polsce. W swoim czasie Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej zorganizował konkurs dla czytelników bibliotek wiejskich. Jakie książki najchętniej czytamy? Na 32 tysiące odpowiedzi aż 31.689 wymienia pozycje literatury radzieckiej.

Oto fragmenty charakterystycznych odpowiedzi:

Zespół czytelniczy z gromady Czarnkowo pow. Kościan pisze:

„...Bohaterowie powieści Ostrowskiego „Jak hartowała się stal", to ludzie, którzy także popełniają błędy, ale umieją je w porę rozpoznać i wykorzenić. W powieści tej widzimy, jak pod wpływem rewolucyjnej partii hartowała się stal — to jest człowiek socjalizmu, świadomy swych celów i czynów. Powieść ta ma dla nas specjalną wartość, mówi nam o wielkiej pracy i wysiłku dokonanym na barykadach rewolucji".

Lektura Makarenki nasunęła Marii Klinger z PGR w Sławianowie pow. Złotów następujące uwagi:

„...Są u nas na wsi jeszcze rodzice, którzy nie umieją wychowywać dzieci. Toteż ze specjalnym zainteresowaniem przeczytaliśmy książkę Makarenki „Wychowanie w rodzinie". Myślałam, że to będzie trudna książka, ale gdy nauczyciel wytłumaczył niektóre wyrazy, zrozumiałam ją. Uważam, że książka ta, jak i inne dotyczące wychowania dzieci, powinna być przeczytana nie tylko przez wszystkie młode małżeństwa, ale i przerobiona dokładnie na specjalnych kursach. Pragnęłabym takich książek przeczytać więcej.

Edmund Natkaniec z gromady Brończyce pow. Miechów zauważa:

„...Czytałem dziesiątki książek autorów tak polskich jak i zagranicznych, ale w żadnej z nich nie odczułem prawdy tak głębokiej jak w książkach radzieckich, na przykład Gorkiego czy Polewoja. Przed 1939 rokiem drukowano u nas dla ludu przeważnie powieści brukowe, z których można się było nauczyć tylko nieróbstwa, złodziejstwa i tym podobnych przestępstw. To były książki o panach hrabiach i ich głupim, ograniczonym szczęściu albo haniebnym upadku. Dziś książka socjalistyczna, na przykład „Matka" Gorkiego, opowiada nam o ludziach prostych, o ludziach, którzy tak jak my byli uciskani, o ludziach zwykłych, o naszych braciach, którzy walczyli o lepsze jutro".

Wzruszający jest list Władysławy Rogalskiej z gromady Pełty pow. Ostrołęka.

„...Ja, stara już kobieta, dziękuję rządowi ludowemu, że mogę czytać książki. Choć jeszcze pomału, bo niedawno ukończyłam kurs nauki początkowej, ale czytam i mogę coś napisać. Przeczytałam kilka książek radzieckich pisarzy. Te książki kazały mi więcej myśleć o dzieciach i młodzieży. Trzeba, żeby w naszej wsi jak najprędzej powstało przedszkole, żeby każda matka wychowywała zdrowe i mądre dzieci. Chcę przeczytać więcej książek o tym, jak wychowuje się dzieci w Związku Radzieckim, bo dzieci—to ważna rzecz, to nasza przyszłość".

Wiele listów mówi o znaczeniu prac Lenina i Stalina dla uświadomienia kobiet. Maria Deptała z gromady Roby pow. Gryfice stwierdza:

„...Jak trzeba pracować nad podniesieniem kultury i oświaty w naszej gromadzie, wskazuje przykład pracy kobiet w Związku Radzieckim. Książka Lenina i Stalina „O roli kobiety w walce o socjalizm" mówi nam, jak powinniśmy pracować i jak poprowadzić współzawodnictwo, żeby podnieść produkcję rolną w gromadzie".

O tym samym a podobnie pisze K. Rola z gromady Żarowo pow. Stargard.

„...Kobieta nie chce wojny, bo wie, ile ofiar wojna pochłania, więc twardo i nieugięcie walczy o pokój. Wie, że z pokojem idzie nowe, piękne życie, gdzie kobieta ma równe prawa z mężczyzną, gdzie nie ma wyzysku człowieka przez człowieka, gdzie traktory i maszyny orzą pola. Kobieta dobrze uświadomiona dba o rozwój spółdzielni produkcyjnych i uświadamia innych, jakie korzyści daje wspólna praca.

Takie myśli nasunęło mi obecne, codzienne życie. Umocniłam się w tym przeświadczeniu po przeczytaniu książki Lenina i Stalina „O roli kobiety w walce o socjalizm".

Na naszym etapie ogromne znaczenie wychowawcze ma dla ruchu spółdzielni produkcyjnej „Zorany ugór" Szołochowa.

Zespół czytelniczy ze spółdzielni produkcyjnej w gromadzie Zieleń pow. Gryfice opisuje dodatni wpływ książki radzieckiej.

„...Jesteśmy członkami spółdzielni produkcyjnej i staramy się podnieść produkcję rolną. Po przeczytaniu książki „Zorany ugór" Szołochowa przekonaliśmy się, że można z niej wziąć dużo przykładów. Przedstawiony jest tam przebieg walki klasowej o uspółdzielnienie wsi. Piękna postać Dawydowa, który zorganizował współzawodnictwo w orce, mówi nam, że też powinniśmy współzawodniczyć, ażeby lepiej uprawiać, prędzej siać i szybciej zbierać, wtedy będzie u nas dobra spółdzielnia i znacznie zwiększymy produkcję w Planie 6-letnim.

„Zorany ugór" jest dla nas książką bardzo bliską i bardzo na czasie, bo my pracując w spółdzielni produkcyjnej także chcemy, ażeby nasza wspólna gospodarka rozwijała się jak najlepiej, żeby wróg klasowy nie hamował rozwoju naszej spółdzielni.

Dla nas najważniejsza w tej książce jest walka o przebudowę ustroju rolnego, walka o lepsze jutro chłopów pracujących.

Oto kilka wypowiedzi chłopów polskich, uzyskanych drogą ankiety przez Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej z różnych stron Polski.

Te głosy stwierdzają dobitnie, jak wielką pomoc w dziele budowania nowego życia okazuje nam walcząca książka radziecka.

Grzegorz Timofiejew

STANISŁAW SIEKIERSKI

O recenzjach, których... nie ma

POMÓWMY o jednej z bardzo ważnych form upowszechnienia wiedzy, o książce pośród szerokich mas czytelniczych.

Nasza powojenna literatura, pomimo wielu jej niedociągnięć, często podkreślanych przez krytyków, może odegrać poważną rolę w kształtowaniu świadomości społecznej czytelników, ale...? Okazuje się przy bliższym poznaniu wypowiedzi chłopskich o książkach, że współczesna literatura polska, nie jest dostatecznie czytana. Wyjeżdżający w teren pisarze spotykają namiętnych czytelników naszej klasycznej literatury, poznali „specjalistów od literatury radzieckiej" w maleńkich wsiach, rzadko natomiast trafiali na swoich własnych czytelników. Sam rozmawiałem z pisarzem, który za najsilniejsze przeżycie w czasie wypraw w teren uważał „odnalezienie" czytelnika swoich książek. Nie twierdzę oczywiście, że czytelników Newerlego, Jastruna, Brezy, Żukrowskiego, czy Piętaka należy w terenie koniecznie ze świecą szukać. Ludzie u nas czytają dużo Ale trzeba się jednak zaniepokoić prawdą, że wieś, a nawet małe miasteczko stosunkowo niewiele jeszcze czyta z naszych współczesnych pisarzy.

Gdzie szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? Jest ich niewątpliwie dużo i niesposób ich tu w całości wyliczyć. Ograniczymy się z konieczności do jednej.

Brak po prostu odpowiedniej krytyki, czy — jak wolicie — recenzji obliczonej na zdobycie dla książki masowego czytelnika. Chodzi o to, że nasz krytyk niewiele wagi przywiązuje do potrzeb czytelnika, rzadko bierze go, pisząc recenzję, pod uwagę. Zdarzyło się na przykład raz Flaszenowi, że z racji „Pokolenia" wprowadził do recenzji swojego fryzjera. Ten zaś był stanowczo mało rozgarnięty, gdyż swoją obecnością recenzji nie zmienił. Pozostała ona nadal mała jasna, a najwyraźniej uspokojony krytyk podrócił do starej i wygodnej praktyki pisania dla „wtajemniczonych".

*

Przy ocenie naszej polityki na odcinku recenzji warto zwrócić uwagę na dwie zasadnicze sprawy. Pierwsza i sakramentalna — to oczywiście sprawa ich czytelności. Nie odkrywam Ameryki, lecz tylko przypominam, że obok poważnych i przemyślanych opinii o książkach pojawiają się recenzje bełkotliwe, niejasne, pełne „zagranicznościów" i „pseudo naukowości", które trzeba sobie pracowicie przekładać na język ojczysty, a przecież mogłyby być od razu napisane po polsku.

A druga sprawa jest nieco inna. Wszelkie działanie w naszej ludowej ojczyźnie winno być planowe, z sensem, dla określonego celu. Polityka recenzowania książek na łamach naszych pism literackich, często się spod tego prawa wyłamuje. Książka raz już zrecenzowana odchodzi spokojnie do lamusa, zaś taka, o której przez rok zapomniano — recenzji się nie doczeka, gdyż świadczyłaby ona o tym, że pismo się spóźnia.

Tymczasem rzeczywistość, w której żyje książka, przedstawia się zgoła inaczej.

A. Kowol-Morcinek, bibliotekarz z Włoszakowic pisał na łamach „Wsi": „Dość często zdarza się przecież, że do biblioteki przychodzi czytelnik, który wypowiada opinię o książce. Bibliotekarz, który nie ma wyrobionych pojęć krytycznych (choćby nawet znał treść danej książki) nie potrafi odpowiedzieć, czy czytelnik ma rację czy nie".

O cóż chodziło Morcinkowi? Ten bibliotekarz mówił w imieniu dziesiątków tysięcy pracowników kultury na wsi, którzy domagają się czegoś więcej niż zwykłe streszczonka książek, a co gorzej nieraz nieodpowiedzialne „reklamy" pozycji słabych, zamieszczane w zawodowej prasie bibliotekarzy. Domagał się popularnej, lecz problemowej recenzji, z której mógłby w równej mierze skorzystać bibliotekarz co i bardziej już doświadczony czytelnik. Dlaczegóż bowiem masy chłopskie garnące się do kultury nie miałyby wprowadzić do swojego słownika takich sformułowań jak pozytywizm, naturalizm, czy realizm socjalistyczny; wiedzy o kierunkach literackich?

Co zaś się tyczy mechanicznego „kwitowania pozycji książkowych" to godzi się przypomnieć, że do pewnych książek już „skwitowanych" należy koniecznie wracać. Wcale nie od rzeczy np. byłoby zamieszczać popularne recenzje z dzieł klasyków — Prusa, Sienkiewicza, Konopnickiej, Reymonta, Orzeszkowej a nawet Żeromskiego. Jest po temu wielka okazja — konkursy czytelników bibliotek wiejskich ogarniające tysiące wsi, w których klasycy nasi i obcy stanowią zasadniczą lekturę dla chłopów biorących udział w konkursie.

*

Rozumiem, że krytyk poleca ze swej strony książkę do czytania. Ale równocześnie musi powrócić do takiej, która masowo obiega w terenie, choćby już o niej pisał. Z tym, że weźmie już pod uwagę opinie czytelnicze, dopomoże w rozwiązaniu trudności, jakie się masowemu czytelnikowi nasunęły.

Popularność książki nie wyrasta sama z siebie i nie zawsze z entuzjastycznej krytyki. Tworzą ją czytelnicy rozsiani po całym kraju, pracownicy kultury — bibliotekarze, nauczyciele.

Znamy z historii literatury wymowne tego dowody. Wspaniałe realistyczne dzieła leżą do dzisiejszego dnia w zapomnieniu tylko dlatego, że nie zyskały sobie masowego czytelnika. Doskonała książka Edmunda Chojeckiego „Alkhadar", dzieło najbardziej realistyczne do czasów „Lalki", pozostało nieznane. Można śmiało powiedzieć, że zabiło je milczenie szerokich rzesz czytelniczych. Podobna zagłada grozi wielu naszym pozycjom książkowym. „Skwitowanie" w piśmie literackim, najbardziej nawet pozytywne, nie przyczyni im sławy, jeżeli książki nie skwituje nasz polski, przeciętny czytelnik.

*

Spróbujmy jeszcze z jednej strony spojrzeć na potrzebę powiązania pracy krytyka z politykiem kultury, praktycznym działaczem na polu jej upowszechnienia. Mamy w terenie, rozrzuconych po wsiach ponad 75.000 nauczycieli. Olbrzymia ich większość to siłą faktu — autorytety w sprawie książki na kilka gromad, a niekiedy nawet gminę. Nauczyciel udziela autorytatywnych porad, daje wskazówki, ocenia książki zarówno przed młodzieżą szkolną jak i starszymi chłopami. Jest jasne, że nie przeczytał on wszystkich książek, które wypada mu oceniać. A jeżeli tak jest, to słabe przygotowanie teoretyczne uniemożliwi mu prawidłową interpretację dzieła literackiego. Jest doprawdy wielu nauczycieli, którzy wytwarzają sobie swoje własne, niesłychanie indywidualne pojęcia o literaturze i jej społecznej funkcji, przynoszące w rezultacie wiele zamieszania i szkody. Terenowy działacz kultury musi swoje doświadczenia kontrolować przy pomocy innych, bardziej doświadczonych z doświadczeniami krytyka literackiego.

*

Zadania szerokiej propagandy dla naszego współczesnego dorobku w literaturze, mogą być spełnione tylko wtedy, jeżeli część naszej krytyki zwróci swe zainteresowania w kierunku czytelnika i pod kątem widzenia jego potrzeb będzie prowadzić swoje badania.

Ale — co najważniejsza — nową recenzję czytelniczą muszą poprzedzić gruntowne badania warunków, w jakich książka jest masowo czytywana, jak ją przeżywa czytelnik, jakie w niej wartości spostrzega, czego nie rozumie. Tak to jest, że o masowym czytelniku, tym z dalekich wsi, małych miasteczek i wielkich fabryk wciąż jeszcze niewiele wiemy.

Stanisław Siekierski

NAJSILNIEJSZA FALA

(dokończenie ze str. 2)

książce bynajmniej nie jest uwarunkowane ilością miejsca poświęconego ich losom, ani ich rolą w kompozycji, ale tą siłą ideowego oddziaływania, jakie wywierają w każdym, choćby najkrótszym zetknięciu; urokiem ludzi wolnych, pełnych ludzi, umiejących strzec swego człowieczeństwa i walczyć ze złymi siłami starego świata wszędzie, gdzie się znajdują. Moralne piękno ludzi wychowanych przez ustrój socjalizmu jest wzorem i nadzieją bojowników wszystkich narodów; ukazuje im realne możliwości zwycięstwa i jego wielkość; podnosi na duchu i dodaje sił w trudnościach.

Erenburg w niewielkich stosunkowo partiach swej książki, poświęconych życiu Związku Radzieckiego, potrafił nakreślić bogactwo życia ludzi budujących komunizm; ukazać porywające perspektywy pracy i walki codziennego dnia wielkiej budowy; zarysować siłę ludzi, którzy obronili świat przed zagładą i gotowi są bronić go dalej. Nierozerwalne nici wdzięczności, sympatii, podziwu łączą ludzi radzieckich i postępowe siły pokoju i demokracji wszystkich narodów świata; umiała to w sugestywny i wzruszający sposób pokazać książka Erenburga. Nierozerwalne nici łączą ludzi dobrej woli na całej kuli ziemskiej. Rosną siły obozu pokoju i wolności. Podnosi się najpotężniejsza „dziewiąta fala" — *„...Istnieją wszelkie podstawy, by liczyć na sukcesy i zwycięstwo bratnich partii w krajach, w których panuje kapitał..."* — powiedział w zakończeniu przemówienia Józef Stalin. Dane, które wskazują na konieczność zwycięstwa sił pokoju i przyszłości nad siłami wojny i zagłady, ukazuje sugestywnie książka Erenburga. I w tym tkwi jej wielkie postępowe znaczenie.

Janusz Wróblewski

MARIAN PILOT

ZWYCIĘSTWO LISTONOSZA

DAWNIEJ w Rachowie listonoszem był Szumniak. Tęgi, uśmiechnięty, gaduła, był jednym z najlepszych listonoszy. Wprawdzie nigdy prawie na czas nie wracał ze zwykłego objazdu — ale ostatecznie wybaczano mu tę „wadę". Miał bowiem za to w swoim obwodzie najwięcej zaprenumerowanych gazet i rozsprzedanych książek. Ze swoją roześmianą gębą wlazł do każdej chałupy, potrafił namówić każdą kobietę jeśli nie na „Gromadę" to na „Przyjaciółkę".

Kiedy więc Szumniak dowiedział się, że teraz ja będę roznosił gazety w Rachowie, klepnął mnie po ramieniu i począł opowiadać:

„Roboty będziesz miał kupę, ale w Rachowie ludzie uświadomieni czytają gazety. Co to tam — zresztą dla ciebie: młody jesteś! Ja stary a dałem sobie radę. Tak! Coś nie coś zrobiłem, ale niektórych trzeba jeszcze zaagitować. Jedno ci powiem: do Siemińskiego, tego na górce, nie chodź. Chłopisko złe jak wściekły wilk. A babsko też takie, że psa w podwórzu nie trza! Poszedłem ci tam raz z gazetą — a on „idź do diabła"! Baba z pyskiem wyjechała...

Patrzyłem więc tylko z daleka na zabudowania Siemińskiego i nie mogłem rozsądzić kto on: kułak, średniak, biedniak? Siemiński mieszkał „po szlachecku", na odosobnionym wzgórzu wśród pól. Z zachodniej strony otaczał zabudowania Siemińskiego lasek; mizerny wprawdzie, rzadziutki — same sosny — ale zawsze lasek. Uważałem, że to po kułacku.

Razu pewnego dostałem list do Siemińskiego.

Idę więc po stromej dróżce na to wzgórze Siemińskiego i rozglądam się. Widzę, chałupa duża wprawdzie ale garbata, strzecha jak stuletnia, okna niby kocie ślepki, do stodoły przystawiony prymitywny chlew o ścianach z wielkich głazów. Od razu zmiarkowałem: nie bogacz. Dawno by sobie nową chałupę postawił. Zaciekawiłem się wtedy jeszcze bardziej: jeśli nie kułak — to czemu wypędził Szumniaka? Wiedziałem przecież, że tylko kułacy pędzili nas niby złodziei, biedni chłopi przyjmowali nas dobrze.

Otworzyłem furtkę i niezdecydowany przystanąłem. Nie wiedziałem: wejść do chaty czy oddać list mężczyźnie siedzącemu pod stodołą. Naprawiał kosisko.

— Dzień dobry! — pozdrowiłem go.

— A dzień dobry... z czym?

— List — powiedziałem krótko.

— A, list! Przeczytaj pan! — powiedział nie biorąc w ogóle listu do ręki.

Zdumiałem się w duchu:

„Co też ten Szumniak mi wygaduje! Przecież to po prostu analfabeta. Kursu tu nie było, czy jak? Muszę się ludzi popytać".

Siemiński widać coś poznał po mnie, bo zaprzeczył:

— Nie myśl pan, że czytać nie umię! Ino co ta biednemu człowiekowi po czytaniu!

— Zaprenumerujcie gazetę — a przekonacie się... — zacząłem, zodowolony, że ten temat sam się nasunął.

— Dość mam pisaniny! — gwałtownie przerwał mi Siemiński. — Ja przez gryzmoły nie dostałem ubezpieczenia za dwie krowy! Niech to jasny pieron!

— Jak to? — zapytałem zdumiony.

— Jak to, właśnie tak to! — przytłumionym głosem począł mówić Siemiński. — Jeszcze na wiosnę zachorowały mi krowy. Obydwie. Nagle. Zanimeśmy się obejrzeli. Widzę: może być źle, więc proszę sąsiada, by pojechał po weterynarza. Pojechał i przyjechał — sam. Weterynarz — powiada — nie przyjedzie. bo dopiero wrócił skądś i mówi, że jest zmęczony. No i krowy moje pozdychały. A potem Pajkiewicz, ten weterynarz, nie chciał dać zaświadczenia, że krowa była u niego zgłoszona i lekowana. Co się to człowiek naprosił — nic. Bez zaświadczenia nie chcą wypłacić ani grosza. No, czytaj pan — powiedział niecierpliwie. — To pewnie też z Ubezpieczeń...

List był bardzo krótki:

„Zawiadamiamy obywatela, że nie możemy wypłacić stawki ubezpieczeniowej wskutek braku niektórych dokumentów". — Szlag by ich trafił! — rzekł Siemiński. Wstał, wziął list z moich rąk i począł go drzeć. Widziałem, jak drżą jego szare, podobne do grud ziemi ręce.

— Słuchajcie! — powiedziałem nagle. — Ja to załatwię. Pomogę Wam! Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób, ale czułem, że muszę to załatwić, że to moja, zetempowska sprawa.

— Nie warto. nie warto! — ciężko machnął ręką Siemiński. Nic pan nie zrobisz!

— Nieprawda! Ja to załatwię! — Krzyknąłem.

Popatrzył na mnie uważnie — miał wyraziste, spokojne oczy.

— Widzę — powiedział — że z pana dobry chłopak. Jednego tylko pan nie wie: że te wszystkie urzędy to tylko po to, by ściągać skórę z biednego człowieka. Tak zawsze było i jest.

— Nieprawda! — krzyknąłem jeszcze raz.

Z powątpiewającym uśmiechem pokiwał mi głową.

Postanowiłem pójść do weterynarza, owego Pajkiewicza. Wprawdzie nie wzruszyły go prośby Siemińskiego, ale sądziłem, że ja jakoś wydostanę to zaświadczenie, jeśli nie prośbą, to groźbą.

Weterynarz mieszkał na przedmieściu, zajmował piękną, zgrabną willę porośniętą dzikim winem. Zastałem go w ogródku, utrzymanym tak starannie, że klomby kwiatów wydawały się różnokolorowymi, martwymi mozaikami, poukładanymi na doskonale ugracowanej ziemi. Widocznie ten ogródek - cacko był namiętnością weterynarza, bo nie zauważył nawet mojego przyjścia. Tęgi, brzuchaty o łysej głowie, podobnej do glazurowanego glinianego garnka, w samych tylko spodenkach kąpielowych podlewał kwiaty.

— Znów! — jęknął, nie odpowiadając mi na pozdrowienie — krowa czy koń?

Powiedziałem, że chcę tylko porozmawiać z nim.

— No, no? — murknął niechętnie, patrząc we wnętrze swojej konewki.

Krótko opowiedziałem, o co mi chodziło.

— Przyszedłem poprosić, żeby pan dał jednak to zaświadczenie — rzekłem na koniec.

— Z jakiej racji mam dać! — oburszył się.

Począłem się denerwować, zapytałem go, czemu w takim razie nie pojechał.

— To moja rzecz! krzyknął.

To już mnie ruszyło!

— Pana rzecz w tym, żeby Siemiński nie dostał odszkodowania?! — krzyknąłem.

A tamten aż pluje słowami:

— Pan niech się do mojego zawodu nie wtyka, niech pan pilnuje swoich listów!

Napisałem list do „Gromady" i niecierpliwie przeglądałem każdy numer oczekując rozwiązania sprawy. Bałem się, że napotkam Siemińskiego i ten uśmiechnie się do mnie: „No i co? Widzi pan. Nie mówiłem?"

*

Wreszcie któregoś dnia list mój wydrukowano. Pojechałem z pocztą wprost do Siemińskiego.

Kazał sobie przeczytać moją korespondencję wraz z komentarzem redakcji i podziękował mi niemrawo.

— Dobrze, że pan napisał... Może...

Nie wierzył, że mój list pomógł w jego sprawie.

— Zobaczycie, sprawa będzie załatwiona — zapewniłem.

Powątpiewająco pokiwał głową. Wydostał skądś okulary, przeczytał wszystko jeszcze raz, a potem poprosił, bym mu pozostawił ten numer „Gromady". Kiedy tego dnia wróciłem do domu, zastałem już tam Pajkiewicza. Kłócił się z moją matką. Gdy wszedłem — weterynarz dalej na mnie! Pod sąd mnie odda, powiada, rozprawi się ze mną! Wściekał się po prostu. Wyprosiłem go za drzwi.

Oczekiwałem, co będzie dalej. Wypłacą wreszcie czy nie? Dopytywałem Siemińskiego niemal codziennie; odburkiwał coraz bardziej nieuprzejmie, że „ani widu, ani słychu". Wstyd mi było. Po paru tygodniach zdecydowałem się napisać do „Gromady" jeszcze raz, gdy któregoś dnia spotkałem Siemińskiego na drodze. O nic go nie pytałem — sam zaczął.

— Zapłacili, wszystko zapłacili co do grosza! Bogu dzięki! Dobrze, że pan napisał. A tę „Gromadę" to ja zaprenumeruję.

Błyskawicznie począłem wypisywać kwit, żeby czasem nie zmienił swej decyzji. Siemiński milcząc patrzył mi na ręce. Potem rzekł:

— Słuchaj pan... A czy to każdy może do tej „Gromady" pisać?

Potwierdziłem. Siemiński chrząknął ucieszony.

— To dobrze... Jakby co, to napiszę. No i podziękuję im za te pieniądze...

Kiedy pokazałem odcinek kwitu Szumniakowi, zdębiał. Oglądał kartkę ze wszystkich stron, ale nazwisko: Siemiński było wypisane całkiem wyraźnie. — Ho, ho! — mruknął całkiem nie po szumniakowsku.

Dobrze zaczynasz — dodał łaskawie. — Będzie z ciebie listonosz. Bo widzisz, listonoszem być, to nie tylko listy i gazety nosić...

Marian Pilot

IRENA SCHEUR

Czytelnik o książce

Książka radziecka zdobywa czytelnika

Foto CAF

LITERATURA radziecka zajmuje w naszym krajowym ruchu wydawniczym poczesne miejsce. Rok rocznie przybywają nowe pozycje, miliony tomów wędrują na półki księgarskie, do miejskich i gromadzkich bibliotek. Gdziekolwiek byśmy się nie znaleźli, do jakiejkolwiek nie dotarli biblioteki — wszędzie napotkamy dzieła Gorkiego, Al. Tołstoja, Fadiejewa, Erenburga i Majakowskiego.

To wszystko prawda, lecz równocześnie pamiętać trzeba, że tradycja rozczytywania się w przodującej literaturze radzieckiej jest bardzo jeszcze młoda, obejmuje — nu dobrą sprawę — powojenne lata. Na wsi tradycja ta zaczęła się jeszcze później. Niemało przecież uprzedzeń, nieufności, lub wręcz wrogiej propagandy należało przełamać nim obok poczytnych klasyków polskich znaleźli się w rękach chłopskich czytelników pisarze radzieccy.

Jakże odbiera współczesną literaturę Kraju Rad nasz chłopski czytelnik, do czego mu służy ta nieznana na wsi przed wojną lektura, jak wzbogaca życie chłopskie, jak je zmienia? — oto niezwykle ważne pytania, na które winni znaleźć odpowiedź nasi politycy kultury. Przed nami wciąż jeszcze otwarta bogata dziedzina badań nad czytelnictwem radzieckiej literatury.

Materiał już jest i to wcale bogaty. Dziesiątki tysięcy wypowiedzi chłopskich, pisanych w ramach dorocznych konkursów czytelniczych czekają na poważne, naukowe opracowanie.

Wystarczy wziąć na warsztat pierwsze z brzegu wypowiedzi, aby przekonać się, że ze świecą dziś szukać chłopskiego miłośnika książki, który by nie wymienił co najmniej jednej przeczytanej i przemyślanej pozycji radzieckiej.

Uczyniliśmy właśnie w ten sposób i oto mamy przed sobą swojego rodzaju metrykę czytelniczą 16-letniej dziewczyny Kingi Dudek z gromady Maków (pow. Miechów). Kim jest ta dziewczyna, zwierzająca się z wrażeń po przeczytanej lekturze? Skończyła 7 klas szkoły podstawowej, jest ponad wszelką wątpliwość bardzo zdolna i rada by się dalej kształcić, ale na przeszkodzie stanęła wola rodziców, którzy uparli się, by pozostawić córkę przy sobie. Oto macie prawie dramat wiejskiej dziewczyny.

Czyta bardzo dużo, dość wspomnieć, że wymieniła więcej książek niż powinna z racji udziału w Konkursie Czytelników Bibliotek Wiejskich. I może dlatego doszła do takich refleksji nad „Antkiem": „Należałoby zwrócić uwagę na uzdolnione jednostki w danej gromadzie, aby je kształcić, by kiedyś przyczyniły się do rozwoju kultury w swojej gromadzie". Dźwięczy w tej wypowiedzi nutka goryczy dziewczyny pozbawionej możliwości normalnego rozwoju intelektualnego. Ale też widać przywiązanie do rodzinnej gromady, rzetelną troskę o jej kulturalny rozwój. Odnosi się wrażenie, że mamy tu do czynienia z potencjalnym, dobrym w przyszłości pracownikiem kultury w macierzystym terenie.

Kinga Dudek przeczytała „Noce i dni" Simonowa, książkę pasjonującą wielu chłopskich czytelników, zachwycających się głównie bohaterską obroną Stalingradu, przełomową fazą minionej wojny. A Kinga? Na cóż ona zwróciła uwagę, co ją zachwyciło w radzieckiej powieści? „Na specjalną uwagę zasługuje postać Ani... Ania poświęciła wszystko i całe swoje młode życie na obronę ojczyzny ciemiężonej przez hitlerowców. Jest siostrą miłosierdzia, opiekuje się rannymi, przenosi rannych z frontu pod gradem kul, lecz nigdy nie pożali się najmniejszą skargą na ciężkie życie. Nawet w tym momencie, gdy ciężko ranną składają na stół operacyjny, nie słychać nawet jęku. Ania jest prawdziwą bohaterką mimo młodego wieku."

Cóż jest wspólnego pomiędzy radziecką dziewczyną, walczącą ofiarnie za swój ojczysty kraj, a Kingą z gromady Maków, która tak bardzo pragnie się uczyć? Właśnie ta ofiarność, tak przecież cenna u młodych, przejęta od ludzi radzieckich, która dopomoże Kindze przezwyciężyć trudności, tak jak starsza i bardziej doświadczona koleżanka dopomaga swojej młodszej przyjaciółce.

Przerzucamy dalej wypowiedzi... Pawka Korczagin, Oleg Koszewoj, lotnik Mieriesjew, mechanik okrętowy Basow — oto najpopularniejsi bohaterowie literaccy naszej młodzieży wiejskiej. Radosne jest przy tym to, że młodzież szuka w książce nie tylko nadzwyczajnych przygód i niezwykłych wydarzeń, ale ludzi, szlachetnych ludzi, mających jasno sprecyzowany cel w życiu, ofiarnych patriotów i bohaterów pracy.

Zdzisław Pęcak, 16-letni chłopiec z gromady Strzelce Wielkie (pow. Brzesk) — jak nas informuje — po nocach nie sypiał, tak bardzo przejął się książką pt. „Statek Derbent". Zapewnia, że nigdy nie zapomni obsługi radiowej odbierającej sygnał SOS, katastrofy okrętu, zawsze podziwiał będzie walkę mechanika Basowa o stworzenie kolektywu i rozszerzenie współzawodnictwa pracy na całą załogę.

Lecz nie chodzi tu o samo, niewątpliwie silne i szczere, przeżycie. Pęcak książkę przemyślał i doszedł do takiego wniosku: „Książka ta uczy nas jak mamy u nas pracować nad odbudową naszej ojczyzny, jak mamy pracować żeby oszczędzając czasu i materiału osiągnąć wyższą produkcję w fabrykach a większe plony na wsi, żeby wykorzystać każdą piędź ziemi, żeby można dać miastu więcej chleba".

Slogany? Może i tak by było, gdyby bowiem chłopiec wiejski pisze rozumiejąc podstawowe założenia naszej gospodarki, kiedy mu się one narzucają pod wpływem radzieckiej książki, to mamy tu do czynienia z przyszłym przodownikiem, który będzie umiejętnie i oszczędnie, a co więcej świadomie pracował. A na takich czeka przecież nasz socjalistyczny przemysł, nasze socjalistyczne rolnictwo.

Książki radzieckie wybiegają zazwyczaj poza rzeczywistość przeciętnej polskiej wsi, gospodarującej jeszcze indywidualnie. Ale to wcale nie znaczy, że są odczytywane jako utopie, jak czyste marzenia. Przeciwnie — urastają do rangi wzoru, godnego naśladowania, wyznaczają zupełnie realne zadania i za ich wykonanie bierze się młodzież.

Helena Gąsiorek, członek kursu kroju i szycia w małej gromadzie Gilowice (pow. Żywiec) pisze pod wpływem „Kawalera Złotej Gwiazdy", że bohater tej książki, mimo wewnętrznych rozterek nauczył dziewczęta „jakie powinno być życie wsi, i jak powinno się pracować, aby osiągnąć lepsze wyniki. Uważam za ważne, że młodzież radziecka pogrupowała się w brygady, aby budować w swej wiosce elektrownię". A więc ideałem okazały się kolektywy młodzieżowe, zdyscyplinowane zespoły robocze, zdolne do największych wysiłków. W bieżących perspektywach Gilowic stały kurs kroju i szycie stanowi taką właśnie kolektywną grupę młodzieży. A jutro?

A teraz najmłodszy, 14-letni czytelnik — Tadeusz Szartak. Jakież on wyciągnął wnioski z radzieckiej książki? To nawpół jeszcze dziecko chłopskie pisze o „Szosie Wołokołamskiej": „Z przeczytanej książki nauczyłem się, że dzisiejsze Wojsko Polskie powinno być takie dzielne jak Armia Czerwona i jak gdy pójdę do wojska, to będę naśladował tego kapitana Momysza".

I znowu bezprzykładne bohaterstwo radzieckiego człowieka, prostych żołnierzy, odciętego batalionu, miłość do rodzinnego kraju porwały młodego chłopaka z naszej wsi. Jest rzeczą znamienną, że obecnie, kiedy imperialiści dążą do nowej wojny, ideał radzieckiego żołnierza przyświeca młodym pokoleniom chłopów.

Obserwujemy triumfalny pochód książki radzieckiej przez nasze gromady. Kto raz w życiu wziął w rękę Majakowskiego, Polewoja, Beka, czy Fadiejewa, nigdy ich więcej nie porzuci. Ale równocześnie dodać trzeba, że pochód ten nie ogarnął jeszcze wszystkich gromad, że znajdziemy jeszcze tysiące młodzieży nie znającej bezpośrednio wielkiej radzieckiej literatury. Trzeba tę młodzież dla książki radzieckiej zdobyć.

Nie trudna to twierdza do zdobycia — nasza młodzież chłopska.

Irena Scheur

Gazetka gminna

Powiatowy geniusz

W ludziach drzemią głęboko nieraz ukryte talenty i trzeba dopiero wstrząsających wydarzeń by się ujawniły, a szczęśliwy ich posiadacz błysnął w powiecie niczym gwiazda. Tę oczywistą dla każdego prawdę potwierdziły ostatnie miesiące w życiu pana prezesa PZGS w Wałczu ob. Miszczuka Antoniego.

Jego szare, zwykłe, urzędnicze dni przerwało niedawno doniesienie kontrolera ZSCh ob. Kużańskiego, z którego wynikało, że za wiedzą prezesa, a nawet przy jego współudziale, szerzą się w poszczególnych GS-ach poważne na-

dużycia. Kużański upodobał sobie Mielęcin, gdzie wykrył niedobory kasowe sięgające 120.000 złotych.

Nareszcie jakaś sprawa, nareszcie przeciwnik, nie groźny co prawda, ale zawsze! Z powodu takiej sumy pieniędzy nie będzie się przecie ob. Miszczuk osobiście fatygował. I oto widzimy w akcji dzielną ob. Ligmę, delegatkę PZGS, słyszymy wyraźnie, jak szkaluje po gromadach nieszczęsnego kontrolera ZSCh. Kużański próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Miszczuk czuje się w papierkach jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobiazgi suwanego przez Kużańskiego „nie podpadają pod kompetencje prezesa".

Niezwykłość ob Miszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność wałczańskiego PZGS-u. I któżby przypuszczał, widząc za prezydialnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza? Na nic starannie przygotowywane oskarżenia na nadużycia, podnoszenie cen, kumoterski rozdział towarów, pijaństwo, na nic stosy pracowicie zebranego materiału dowodowego. Dlaczego? Ano dlatego, że nikt do głosu nie doszedł. Wyjątek stanowiła jedynie ob. Piechnikowa, ale i ona zdążyła się tylko przedstawić. Gdy przystąpiła do krytyki pracy GS-ów w gminie Róża Wielka, straciła głos biedaczka. Tak się rozprawia z tymi ob. Miszczuk, co to nie na temat mówią.

Podziwialibyśmy zapewne do dzisiejszego dnia jego genialność, gdyby nie wspomniany już ob. Kużański. Ten przesłał wszystkie materiały dowodowe słynnej na cały kraj „Fali 49".

Zniknął momentalnie powiatowy geniusz, zapodziały się od razu talenty. Pozostał zwykły kanciarz w PZGS-ie. A i to nie, gdyż go usunięto.

Piotr Pigwa

Prezes podobny medalowi

Nasz prezes ZSCh na gminę Koszalin przypomina po trosze medal, a to dlatego, że też posiada swoje dwie strony, dwa rozmaite oblicza. Jedno urzędowe, na pokaz, ale o nim pisać nie będziemy, ponieważ każdy chłop z okolicy zna je aż nadto dobrze. Chodzi głównie o to drugie, znane do niedawna tylko nielicznym wtajemniczonym.

Sprawa owych „dwóch stron" jednego prezesa wybuchła dosyć nagle z racji przyznania naszej gminie poważnych kredytów na likwidację odłogów i podniesienie hodowli trzody chlewnej.

Było tak, że oblicze urzędowe pana prezesa przeczytało podania mało i średniorolnych chłopów proszących o kredyty i poszło natychmiast spać. A to drugie, nieznane zwykłym śmiertelnikom oblicze, zabrało się w zastępstwie do rozdziału pieniędzy.

I któż je otrzymał?

1. Ciesiołkiewicz Stanisław na kupno 6 świń i likwidację 5 ha odłogów.
2. Sobczyk Stanisław na zakup 5 świnek.
3. Zander Wojciech na 4 świnki i zagospodarowanie 20 ha odłogów.
4. Anyszko Konstanty na 6 świnek i 5 ha odłogów.

A teraz napiszemy co to są za biedni chłopi. Pierwszy z nich to „chłop z Marszałkowskiej", sanacyjny adwokat, znany u nas bumelant. Drugi natomiast jest zegarmistrzem, uprawia ponadto zawód dentysty. Ale szyldu przez skromność nie wywiesił. Trzeci i czwarty, choć zbywa im na naukowych, posiadają przecież wymowne tytuły spekulatów i kombinatorów.

Zaraz po rozdziale kredytów obudziło się urzędowe oblicze prezesa i zniknęło w piwnicach samopomocowej gospody wraz z obliczem drugim i szczęśliwie wyróżnionymi „chłopami".

Ukryte oblicze naszego prezesa wydobyliśmy spod stołu i zaprowadzili do Prokuratora. Dziś pan prezes nie przypomina już medalu. Ma bowiem jedną tylko stronę były kierownik ZSCh w gminie Koszalin — oblicze wroga i szkodnika.

Jan Biegała

Kumoterskie kwalifikacje

O referencie skupu w powiatowej mleczarni w Siemiatyczach — Izdebskim Konstantym powiadają, że to „pierwszorzędny fachowiec o wysokich kwalifikacjach". Kwalifikacje, nie można powiedzieć, pan referent ma. Kilka lat wstecz łupili z bratem skórę z okolicznych chłopów, jeden jako sklepikarz, a drugi jako restaurator.

Od pewnego czasu zauważyliśmy, że pan referent upodobał sobie nasze Ostrożany. Ładnie u nas jest i grzybów było wtedy zatrzęsienie w lesie. Ale co tam przyroda dla naszego referenta. Aż do znudzenia powtarzały się takie oto dialogi między filiarzem, Kisieckim Franciszkiem a referentem:

Filiarz: Panie referencie brudno w filii, palić nie ma czym, muszę węgiel pożyczać. Kiedyż wreszcie przydzielicie wapno i węgiel?

Referent: Co chcecie ode mnie... Ja tu rządzę, czy jak? Jak państwo samo nie ma, to i nie daje. Z pustego to i Salomon nie naleje — tu łypał porozumiewawczo okiem w stronę okolicznych chłopów.

A tymczasem po cichu ubijał interes. Wypatrzył sobie u niejakiej Nesterowicz Jadwigi galantego wieprzka i patrzeć, aż tu raz zajeżdżają mleczarskim samochodem pan referent ze szwagierką i dwie stare znajome „po fachu" jeszcze z okupacji, zaszlachtowali wieprzka i zabrali „na cele społeczne".

A w mleczarni nadal brud i brak węgla. Dostawcy zaczęli narzekać: jak się ten filiarz stara? Co to za robota? — a referentowi tylko w to graj. Jak chłopi narzekają to on jeszcze: — E, żeby tylko to... to lepszy dran ten wasz filiarz... Ale to tylko do czasu. — Chłopi nadstawiali ucha.

I co się robi? Wychodzimy jednej niedzieli z kościoła, a tu nas nie się nie spodziewających łapie pan referent: — Ano chłopy, walcie na zebranie... Zebranie, jakie? — pytamy. — Mleczarskie, ma się rozumieć, filiarza będziemy zmieniać. A z drugiej strony niejaki Miłkowski gania na rowerze swoich znajomych i zapędza na zebranie. Zebrało się nas ze 30 chłopa na stukilkudziesięciu dostawców i słuchamy, jak temu filiarzowi wyczytuje referent wyrok: „...z polecenia władz odgórnych zmienia się filiarza... Obowiązki przejmuje ob. Miłkowski.. Zaprotokółować proszę, a sołtys niech poświadczy." To my ma się rozumieć do filiarza i mówimy: — Coż w tak, Franek, bez dania racji dasz się wyrzucić, a umowa o pracy to już nic? Ale referent krótko ucią: — Nie ma co chłopy gadać, tłumaczyć to się można w sadzie, tam dojdą kto winowaty... Znaleźli wreszcie sołtysa, ten niewiele rozumiejąc, przybił pieczątkę i pan referent z nowym filiarzem poszli do ogrodu organisty na „Krzakówkę".

Tylko, że nam chłopom to się nie spodobało. Nauczyliśmy się już poznawać co to wróg klasowy i tęgi kumoter.

Baltazy Barnaba

Na biegunie?

Czytałeś kiedyś, że jest takie miejsce koło Bieguna, gdzie dzień trwa równe pół roku. Taką samą miarę czasu zastosowano, jeśli chodzi o załatwienie spraw robotników leśnych, Nadleśnictwo Korniszewice. Powiadam wam, co za wspaniały wynalazek dla biurokratów, przy tym zdumiewająco prosty w pomyśle. A objaśnię go na przykładzie:

Do Nadleśnictwa Korniszewice przyszły płaszcze gumowe dla robotników leśnych. Było to jakoś pod jesień ubiegłego roku. Płaszcz taki bardzo potrzebny, a my tu w lasach robimy, to coż dziwnego, że każdy się cieszył. Płaszcze przyszły... i leżały. Czekaliśmy, ale ponieważ najcierpliwszego by to już zgniewało, napisaliśmy do Redakcji. Wprawdzie Redakcja to też nie Pan Bóg — jak nam powiadali w Nadleśnictwie, ale bądź co bądź płaszczom ten list pomógł. Płaszczom... bo nie robotnikom leśnym, którzy na nie czekali. Rozdano je w czerwcu leśnikom i gajowym. W czerwcu można już było ostatecznie stratę tych płaszczy przeboleć. To mnie tylko zaciekawiło, że w wyjaśnieniu Koszalińskiego Okręgu Lasów Państwowych nadesłanym do Redakcji stoi wyraźnie: „Płaszcze gumowane rozdzielono komisyjnie wśród robotników leśnych w przeciągu 2 dni od ich otrzymania..."

I tak sobie teraz myślę i obliczam: Jeżeli od końca października do czerwca — 2 dni, to ile będzie trwać załatwianie takich spraw, jak brak światła i wody u ob. Trochimowicza J., jak przydział koców i ręczników dla rodziny ob. Szembiedy Piotra z Sierakowa, jak załatwienie sprawy przydziałów na bony w Pskaninie oddalonym o 9 km, a w bliższych miejscowościach w Niemicach lub Seceminie? Nadleśnictwo przyrzekało nam dziesiątki razy, że „w tych dniach" załatwi się. A ja liczę, liczę, i wychodzi mi, że jakby to tak dalej szło, to trzeba byłoby czekać okrągły rok. Ale że na biegunie nie mieszkamy, czy by nie warto jednak skrócić „dzień" lub „dwa dni" Nadleśnictwa?

Antoni Syga

WÓZ CZY TRATWA?

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Na drodze we wsi Chmielniku
Latem niby w popielniku.
Popiołem piach z drogi dmucha,
w kurzu więdnie róża krucha.
Jesienne gdy wstaną zorze,
droga cała znów w bajorze.
Lamentują z cicha chłopi,
Bo im droga wozy topi.
Lamentuje, gdy świt budzi
wiosna — jesień — dwustu ludzi.
Bo w Rzeszowie, jak w Rzeszowie:
znoku bloków sto w budowie
i dzień w dzień, milczkiem, bez słowa
pędzą cieśle do Rzeszowa.
Jadą z miasta pod zagrody
ciężarowe samochody.
Ale w błocie — chłodzie — mrozie
koła grzęzną po podwozie.
Co Wydział Drogowy powie
przy PRN-ie w Rzeszowie?
W kamieniołomie u drogi
kamień bliski i niedrogi!
Na myśl nie przyszło nikomu
kamień dać z kamieniołomu?
Chcesz, Wydziale, żeby szosa
szła... do morza prosto nosa?!
Cóż, panowie? Sprawa łatwa:
Wóz i przewóz. Wóz lub tratwa!

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12. tel 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Tel: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 dod wewnętrzny 91, 63.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29102